



ROK 1924.

WARSZAWA, 22 LISTOPADA

T R E Ś C N U M E R U :

Nasza samorzutna propaganda zagranicą—C. W. Wychowawstwo—K. S. Głosy w sprawie pracy zawodowej kobiet—Zofja Zawiszanka. Rzym (feljton)—Marja Grossek-Korycka. Wiersz: „Z dzieciństwa Marysi”—Zofja Szmydtowa. Łucja z Pokucic (nowela)—Marja Dąbrowska. Drogami duszy (powieść), c. d.—Helena Caysingerówna. Wypadek samochodowy (nowela) dok.—Paul Bourget; tłum. M. D. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—K. Bielańska Z powodu ostatnich przekładów J. Conrada—M. D. Biuro Informacyjno-prasowe dla spraw kobiecych. Życie i praca kobiety polskiej (—). Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—I. Fabrycowa. Z Teatrów—P—a. Praktyczna moda—Regina z Szymańskich André. Ozdoby z włóczki (—). Wskazówki praktyczne—Pani Elżbieta. Dodatek powieściowy: „Czas Kwietniowy” tom II, (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZO RÓW

NASZA SAMORZUTNA PROPAGANDA ZAGRANICĄ

Mais comment donc. est ce qu'il y a des chemins de fer chez vous? — (Jako, więc wy macie koleje u siebie?) — Tak jeszcze przed wojną pytali Francuzi Polaków turystów, spotykanych w Bretanii, Normandji, Paryżu. Kraj nasz wydawał im się, jak dzika Azja. Polska zresztą, czy Rosja—kto to umiał rozróżnić? — Chyba jakiś profesor historii narodów słowiańskich na katedrze Sorbony. Ale i dla niego to były kraje wilków, niedźwiedzi, maszerujących po chodnikach t. zw.—Boże zlituj się!—miast wielkich.

Przyszła wolna Polska. Ministerstwo Spraw Zagranicznych stworzyło wydział prasowo-propagandowy. Taki sam wydział powstał w 1920 r. przy Prezydjum Rady Ministrów. Kto

widział owoce wielkich sum, rzucanych dla szerzenia wiadomości o nas wśród obcych?—Kilka bezechowych broszur, wielka reklama w pismach! (naszych), górne cele i zamierzenia, a potem — nagle zduszony skandal — zwinięcie Wydziału Prezydjalnego. Została tylko propaganda prasowa Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Gdzie jej widome wyniki? Gdzie krzyk na alarm, gdy Polska zagrożona? Gdzie tarcza przed jadem oszczerstw? Gdzie radość i triumf, gdy coś dobrego się stanie?

Robota biurowa obwarowana jest tyłoma rozporządzeniami z góry, że ginie w niej wszelka samorzutna pomysłowość, a nim papiery z teczki różowej (pilne!) zdobędą podpis pana naczelnika, cyfry dyrektora departa-

mentu. a wreszcie ministra, — sprawa „przezcasieje” i nikt się już o nią nie troszczy.

Ciężkim bezwładem — w pierwszych latach wolnej Polski—kładał się etatyzm na każdym naszym poczynaniu. Najenergiczniejsi działacze wpadli w marazm, wyczekując gwiazd z nieba i potoków złota na ziemi—od Rządu. Ale przyszła chwila. Zrutynizowany mechanizm administracyjny nie mógł podołać wymogom życia. I oto powoli społeczeństwo wraca na placówki swoje. Staje przy warsztatach prac przerwanych, podejmuje nowe, wypełnia luki, zaniedbane czy przeoczone przez władze rządowe.

Jedną z nich — w danym razie może najważniejszą—jest propaganda zagraniczna.

Co wiedzieliby o nas, gdyby nie te międzynarodowe zjazdy, ściągające do Polski z kątów świata setki inteligencji, która uczy się patrzeć na kraj nasz taki, jakim jest, a nie taki, jakim rzuca go na ekrany narodów kłamstwo wrogów?

W ciągu paru miesięcy mieliśmy w Warszawie kilka wielkich kongresów. Najdonioślejsze z nich — Międzynarodowy Kongres nauczycieli szkół średnich, Międz. Kongres Akademicki i Zjazd harcerstwa. Ściągnęli do nas pedagodzy, ściągnęła młodzież szerokiego świata. Zapadł do pamięci cudzoziemców¹⁾ obraz Polski żywej, serdecznej, odwalającej zwały kamieni, aby budować się na modłę dużego państwa, aby sprostać wielkim zadaniom, które przyjęła na siebie od wieków: rycerza, oddającego krew swoją za całość i bezpieczeństwo Zachodu. Czego nie powiedziała obcym prasa urzędowa, to postrzegają oni sami przy bezpośrednim zetknięciu się z życiem naszym.

A te setki naszych uczonych, studentów, przemysłowców, artystów, literatów — mężczyzn i kobiet — jadących zagranicę na wszechświatowe obrady — przeważnie własnym kosztem, przy bardzo nikłej pomocy Rządu? — Każdy na swoją rękę prostuje złe sądy o Polsce. Obce narody muszą zrozumieć, że dźwigamy się, jak zmartwychwstały olbrzym, na wszystkich polach, że zadaniem naszym pokojowe dążenie do osiągnięcia najcenniejszych oświatowo-kulturalnych zdobyczy i oparcia bytu państwowego na twardym gruncie zorganizowanej pracy.

Uczeni nasi przypominają obcym naukę polską, która zapuściła silne korzenie w podłoże dorobków świata cywilizowanego. Młodzież, pędząca ku jutru, zadzierzguje węzły, które mogą stać się opoką trwałego porozumienia z obcymi na różnych polach zamierzeń.

Międzynarodowy kongres matematyczny w Toronto (Kanada), zjazd geografów w Brukseli i fizjografów

w Madrycie, kongres rolniczy i kongres ochrony własności prywatnej we Francji, kongres pokoju w Berlinie — wszędzie samorzutni przedstawiciele nasi brali udział, wygłaszając referaty, jak np. prof. Sierpiński w Toronto, prof. Sulgowski w Paryżu, sen. Łubieński w Quimper, pos Łypacewicz, który na zjeździe berlińskim odparł energicznie zarzuty, jakoby na Górnym Śląsku nie było szkół niemieckich, gdy tam właśnie więcej jest niemieckich, niż polskich.

Przemysłowcy nasi przy pomocy Rządu stworzyli polską wystawę w Konstantynopolu, która zgromadziła eksponaty 200 fabryk. Księgarze urządzili wystawę książek polskich w Lipsku. Ruchoma wystawa grafiki naszej obiechała państwa skandynawskie i bałtyckie.

Wszędzie inicjatywa społeczna, dowód prężności narodu, który w chwilach ważnych zawsze spełnia powinność swoją.

* * *

Do samorzutnej propagandy stanęły i kobiety. Była na Zjeździe kobiecym w Rzymie senatorka Józefa Szabeko. Reprezentowała Polskę na międzynarodowym kongresie polityki społecznej w Pradze (październik r.b.) dr. Zofja Daszyńska-Galińska, wygłosząca referat p. t. „Konsekwencje socjologiczne 8 g. dnia pracy“. Należała do zjazdu właścicieli nieruchomości w Quimper p. Eliza Peplowska. Wyjeżdżała kilka razy do roku na międzynarodowe kongresy radna st. m. Warszawy, dr. J. Budzińska-Tylicka, nie oszczędzając ani trudów, ani kosztów, poświęcając praktykę swoją dla dobra ogółu. Przewodnicząca Sekcji Polskiej Międzynarodowej Ligi Kobiet dla pokoju i wolności, trzyma rękę na pulsie opinii zagranicy o Polsce. Niema napaści Niemców i Rusinów na nas, którychby nie odparła ze zwykłą swoją przytomnością umysłu, bystrą polityczną orientacją, temperamentem i sławą wytwornej mówczyni.

Jedyna przedstawicielka Polski na kongresie Ligi w Waszyngtonie (maj r. b.), obiechała w ciągu kilku tygo-

dni, wraz z uczestniczkami Ligi, całe prawie Stany Zjednoczone półn. Ameryki, gromadząc dokoła siebie Polaków prawie już doszczętnie zamerykanizowanych i otwierając im serca dla kraju rodzinnego. Niestrudzona ta działaczka nie traci ani na chwilę z oczu koniecznej potrzeby zaznajamiania cudzoziemców z geograficznym położeniem naszym, które wymaga nieustannej, obronnej pozycji przed czającym z dwóch stron wrogiem. Nie zrozumie raz, drugi, trzeci stanowiska Polki angielska czy amerykańska fanatyczka pokoju, — jednak przy czwartej i piątej dyskusji już zaczyna otwierać oczy na prawdę polską. Działać jednak trzeba ostrożnie i przy ogólnych uchwałach zgłaszać votum separtum polskie tak, aby w niczem nie naruszać statutu Ligi. Jedna pomyłka, a już by nas tam nie było i bezkarnie szerzyłyby się potwarcze napaści na zaborczość naszą imperjalistyczną, na katowanie mniejszości narodowych, znęcanie się nad obcymi więźniami i t. p.

Po kongresie waszyngtońskim, wyjechała dr. Tylicka na II Kongres t. zw. „Małej Ententy Kobiet“ w Białogrodzie. Z powodu Zjazdu zostaje zorganizowana w tej stolicy Jugosławii wystawa pracy kobiet, obejmująca zdobnictwo i szkolnictwo żeńskie.

Zebraniem okazów zajęła się p. Zofja Dobrzańska, przewodnicząca Stowarz. kobiet pracujących w handlu i biurowości. Dzięki poparciu Ministerstwa Oświaty w osobie p. M. Bratkowskiej udało się zgromadzić znaczną liczbę eksponatów, które dobrze zapewne zdołały przedstawić rękodzielnictwo i zdobnictwo nasze.

Wystawa i kongres trwały od 30 X do 5 XI. Dr. Tylicka przygotowała pięć referatów na temat: prawodawstwa w stosunku do dzieci nieślubnych i praw cywilnych kobiet, pragmatyki urzędniczek i nauczycielek państwowych lub samorządowych, wreszcie — sprawozdanie z odbytych niedawno kongresów pokojowych w Waszyngtonie, Londynie i Berlinie.

C. W.



¹⁾ Statystyka notuje 1000 osób, które z różnemi wycieczkami zwiedziły Polskę w r.b.

WYCHOWAWSTWO

II

Czy można wychowywać kogoś, nie stykając się z nim blisko? Czy można wychowywać uczniów, nie znając ich życia?

Wychowawca powinien wiedzieć i interesować się wszystkim, co ma jakikolwiek wpływ na charakter i sposób życia jego wychowanków. Musi poznać ich otoczenie i wszystkie te czynniki, które składają się na urobienie ich dusz młodych: stan zdrowia i warunki materialne, atmosferę domową i koleżeńską, skłonności i upodobania — jednym słowem wszystkie czynniki rozwoju i wszystkie przyczyny zaniedbań. Między wychowawcą, a wychowankami musi zadzierzgnąć się serdeczny węzeł życzliwości i zaufania, obejmującego całość kształtu życia codziennego, nie tylko urzędowy, oficjalny stosunek szkolny.

W tym celu konieczny jest stały kontakt z domem, o wiele bliższy kontakt w szkole, wspólna praca fizyczna i wspólne pobyty wakacyjne. A nade wszystko kardynalny warunek: tych wychowanków nie powinno być za dużo! Nie mówiąc bowiem o trudnościach zasadniczych, że trudno jest po prostu dobrze poznać i należycie czuwać nad zbyt wielką ilością dzieci, ale i sam wpływ pedagogiczny jest ogromnie utrudniony w atmosferze różnorodności większej masy.

Czy w naszych warunkach można o tem marzyć? Czy mając tyle rozmaitych zajęć, może wychowawca klasowy poznać i żyć się ze swoją klasą — zwłaszcza jeśli ta klasa ma przeciętnie czterdziestu kilku uczniów.

Stąd pierwszym i zasadniczym warunkiem uzdrowienia tych stosunków jest zmniejszenie ilości uczniów w klasie. Drugim nie mniej ważnym jest ograniczenie zakresu zajęć nauczycieli — wychowawców. Z obowiązkowo przepisanych godzin należy większą ilość przeznaczyć na wychowawstwo, a ponadto uwolnić ich od całego szeregu zajęć administracyjno — kancelaryjnych, które nie mają żadnego związku z wychowaniem.

Pociągnie to za sobą znaczne zwiększenie wydatków na administrację szkolną. Ale na to już niema rady. Wszędzie indziej bowiem ograniczenia mogą być tylko mniej lub więcej niekorzystne, na tem polu zaś

decydują po prostu o samej istocie rzeczy.

Jeżeli żądamy od szkoły, aby naprawdę wychowywała, trzeba jej dać konieczne warunki. Innego wyjścia niema.

Przechodzę teraz do drugiej strony tego zagadnienia. Czy każdy nauczyciel do tego zadania się nadaje i czy każdy jest do niego odpowiednio przygotowany?

Zdolności i zamiłowanie do nauczania nie zawsze idą w parze ze zdolnościami wychowawczymi. Można być dobrym nauczycielem, a nie szczególnym wychowawcą i naodwrot.

Wychowawca musi kochać młodzież. Bez pewnych czynników uczuciowych, bez tego ciepła serdecznego nie można tu nic zrobić. Wychowawca powinien znać dobrze psychologię dziecka: aby uchronić się od błędów, wynikających li tylko z nieznamomości rzeczy. Wychowawca powinien być zrównoważony, wyrozumiały, taktowny, a przede wszystkim: charakter nieskazitelny, który mógłby być prawdziwym wzorem dla wychowanków. Młodzież musi wyczuwać w nim ukochanie wielkich ideałów i wielkich ludzi i sama ukochać w nim swojego przewodnika i opiekuna.

Wychowawstwo tak pojęte należy bez kwestji do zadań szkolnych najtrudniejszych i najbardziej odpowiedzialnych. Toteż trzeba mieć do tego nie tylko wrodzone zdolności i zamiłowanie, nie tylko fachową znajomość rzeczy, ale trzeba ciągle iść z postępem czasu, interesować się życiem żywym, a zwłaszcza poznać dobrze środowiska, w których żyją i rozwijają się uczniowie.

Mówi się teraz coraz więcej o potrzebie kontaktu szkoły z domem. Tyczy się to w pierwszym rzędzie wychowawców. Chodzi o to, aby ten

stosunek nie polegał jak dotychczas jedynie na informowaniu rodziców co do stopni i zachowania. Między wychowawcami szkolnymi i domowymi musi istnieć stałe porozumienie, wspólna metoda postępowania i wzajemna pomoc w pracy. Perjodyczne konferencje wychowawców z opiekunami domowymi są wprost nieodpowiednie. Dopóki szkoła z domem nie podadzą sobie rąk do wspólnej pracy, nie może być mowy o wychowaniu.

Nie zastąpią tego nawet gminy szkolne. Instytucje te, tak bardzo modne w ostatnich czasach, mogłyby odegrać bardzo ważną rolę w dziele wychowania publicznego, gdyby nie były pustą tylko formą i gdyby wychowawcy mogli więcej się nimi zainteresować.

Tak, jak jest dzisiaj trudno stwierdzić jakąś większą korzyść wychowawczą, a nawet mam wrażenie, że wprowadzają one pewne niebezpieczeństwo blagi i frazesów, dysharmonię wielkich słów i jeszcze większego ich lekceważenia.

A jednak — choćby nawet gmina szkolna stanęła na wysokości zadania, choćby stała się naprawdę tą idealną „szkolną jednostką społeczną”, nie zastąpi ona nigdy atmosfery domowej, a w każdym razie nie usunie jej wpływu.

Na zakończenie chciałabym jeszcze podnieść sprawę ogromnie doniosłą dla wszelkiego wychowania. Od szeregu lat stało się rzeczą bardzo modną przeakcentowywać potrzebę swobody i indywidualizmu u dzieci. Nie ulega wątpliwości, że należyty rozwój indywidualności jest rzeczą jedną z najcenniejszych w dziele wychowania. Ale nie wolno zapominać o grożących tu niebezpieczeństwach. Nie wolno identyfikować swobody z brakiem karności, indywidualizmu zaś z brakiem poczucia odpowiedzialności. Utrzymanie miary jest tu rzeczą ogromnie trudną i wymaga nie tylko talentu i doświadczenia pedagogicznego, ale wielkiego oddania i staranności.

Jest objawem bardzo znamienym dla naszych czasów, że ze wszystkich stron odzywają się głosy o potrzebie rewizji systemu wychowania publicznego. Miejmy nadzieję, że od pięknych słów przejdziemy niedługo do wydatnych czynów.



GŁOSY W SPRAWIE PRACY ZAWODOWEJ KOBIET

Będziemy kolejno umieszczać w „Bluszczu” artykuły poruszające sprawę pracy zawodowej kobiet, gdyż drogą rzeczowej chcemy dojść do wszechstronnego oświetlenia i pogłębienia tej kwestji, która jest dziś najpoważniejszym zagadnieniem nurtującym świat kobiecy.

(Przyp. Red.)

Wśród wszystkich spraw, żywo obchodzących polskie kobiety, poruszona w „Bluszczu” przez autorkę artykułu — p. t. „Ważne zagadnienie” jest rzeczywiście jednym z najważniejszych zagadnień.

Mus zarobkowej pracy dla matek (zwłaszcza liczniejszej rodziny) odczuwamy wszystkie, jako anomalję, bardzo uciążliwą społecznie, a nieraz nawet tragiczną. Ponieważ ta anomalia przybiera charakter chroniczny — dążymy więc instynktownie do jakiejś akomodacji, usiłujemy wytłumaczyć sobie stan rzeczy i pogodzić się z nim. Usiłujemy przedewszystkiem odpowiedzieć sobie na pytanie: czy to zjawisko razi nas dlatego tylko, że sprzeciwia się pewnym utartym sposobom myślenia, w których nas wychowano — czy też w samej naturze jego leży coś zasadniczo szkodliwego?

Pytanie jest zupełnie na miejscu: wszak wszystkie doniosłe i nieraz zbawienne reformy społeczne nie obchodziły się w początkach bez wstrząśnień, niszczących nieraz byt wielu jednostek. Nikomu dziś chyba nie przyjdzie na myśl żałować pańszczyzny, pomimo że zniesienie jej, jako gwałtowna zmiana systemu większej produkcji rolnej, zrujnowało niejedną znaną rodzinę ziemiańską. Zadne wielkie dzieło nie obywa się bez ofiar — ponośmy je zatem mężnie wszędzie tam, gdzie służy przez to prawdziwemu postępowi narodu, czy ludzkości.

Postęp — to jakby linja, wytyczona ku najwyższym celom, prowadząca stale ze złego ku lepszemu, a z lepszego ku doskonalszemu jeszcze. Wyobrażając ją sobie plastycznie, widzemy wprost towarzyszące jej nieuchronnie zamazane jakieś kreski i zygzaki, wśród których chwilami zatracają się, dla oka nie dość bystrogo, główny kierunek. To zupełnie tak, jakby z szeregu niedbałych szkiców wylaniał się dopiero powoli właściwy kształt. Strzeżmy się, aby nie brać jakiejś szkicowej, zamazanej kreski za prawdziwą linię postępu — bo w imię tamtej, zaprawdę, szkoda ofiar!

Mnie się zdaje, że taką fałszywą kreską, taką anomalią istotną i szkodliwą jest właśnie konieczność zarobkowania ze strony matek.

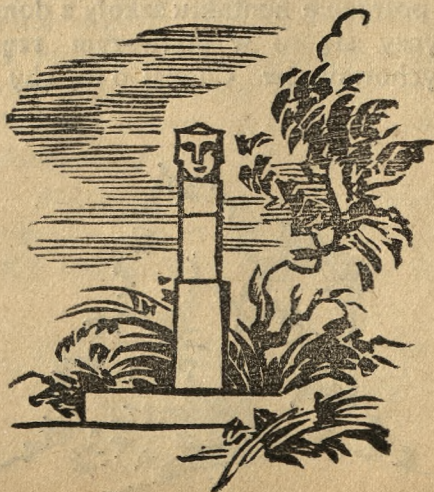
Autorka artykułu „Ważne zagadnienie” wychodzi z tego punktu

widzenia, że to, co jest, musi być dobrem — oto „czcicielka faktów dokonanych!” A przeciw historii i socjologja pokazują nam wiele form kulturalnych, których byt, choć niezaprzeczony, by krótkotrwałym i smutną pamięć pozostawił... Czy może i „raj” komunistyczny uznamy za coś dobrego, dlatego jedynie, że się od kilku lat jakoś trzyma na dużych przestrzeniach Europy i Azji?

„Fakt dokonany” nie da się zaprzeczyć, sytuacja ekonomiczna zmusiła już oddawna większość kobiet z ludu do pracy nad siły — a obecnie zmusza do tego i znaczny procent (dajmy na to że 60%) matek z inteligencji. Wieśniaczki nasze potrafią kopać ziemniaki, żąć, lub dźwigać ciężary aż do samej chwili porodu, a na drugi dzień po nim już chodzić z dzieckiem na rękę. Podnosi się to czasem z zachwytem, jako objaw cudownego zdrowia naszego ludu, wykarmionego na bujnej piersi przyrody i t. p. Daleko mniej wszakże wie się o fakcie, że ogromny procent tychże wieśniaczek choruje i umiera na choroby kobiece — że prawie wszystkie starzeją się bardzo wczesnie, a bodaj, że połowę przeciętnie swego drobiazgu tracą w wieku niemowlęcym.

I tak było od wieków, niestety — ale nie widać jakoś, aby te barbarzyńskie warunki egzystencji wyłoniły jakiś szczególnie imponujący typ kobiety. Biedaczka jest ofiarą swego ciężkiego losu i to jej bynajmniej do rozwoju nie pomaga.

W naszych czasach dzieje się, że i kobiety z „wyższej sfery” zaczynają także — choć w inny nieco sposób — stawać się ofiarami losu i śmiem twierdzić, że to ani im, ani społeczeństwu nie wyjdzie na zdrowie.



Albowiem taki stan rzeczy stoi w sprzeczności z prawami już nie tylko socjologii, ale i przyrody — a przyroda to wielka pani, która przetrwała już dużo, dużo, ludzkich eksperymentów. Ona to, dając nam w gnieździe ptasim śliczny symbol ochrony wszelkich młodych istot, niezaradnych i bezbronych — ustaliła również podział obowiązków: matka grzeje swą piersią jaja i tuli pisklęta, zaś ojciec przynosi pożywienie. Oto jeden z budujących wzorów zdrowego ładu, od którego nie powinniśmy się zanadto oddalać, tem bardziej, że nasze pisklęta znacznie dłużej pozostają niezaradnymi. Niestety w takim naśladownictwie przyrody przeszkadza nam bądź większe skomplikowanie form, bądź też zatarta prostota instynktu, wiodącego tak nieomylnie zwierzęta.

Zastrzegam się zaraz, że to westchnienie nie oznacza bynajmniej negacji kultury! Nie neguje także zawodowej pracy kobiet wogóle — przeciwnie, uważam ją za ważną zdobycz. Jeżeli jednak nie ma ona osłabiać społeczeństwa, to trzeba z niej wykiuczyć matki, w okresie wychowania małych i podrastających dzieci. Praca zarobkowa matki, to szereg krzywd daleko cięższych, niż codzienny, „tłumiony płacz” jakiejś wyjątkowo uczuciowej dziewczynki, która zostawała przynajmniej na opiece babki.

Bywa czasem, że się dzieci zamyka na klucz same w opuszczonym domu i, że one w razie pożaru spalają się żywcem... A ileż jest krzywd mniej drastycznych, lecz niemniej oczywistych, a ciągłych i nieuchronnych!

Autorka wyżej wymienionego artykułu zdaje się to widzieć, bo leje nad losem niedopilnowanych dzieci, niespokojnych o nie matek — i... wprost od tych lamentów — przeskakuje do zachwyty nad „wielkością i potęgą życia”, które „musi stworzyć nowy typ kobiety, nad wielką radością pracy”, narzuconej w takich warunkach!

Któżby przeczył, że praca daje radość? Ależ tak — jeno nie kaźcie mi prowadzić czyichś ksiąg kasowych, lub uczyć cudzych dzieci, wtedy, kiedy moje własne potrzebują nieodzownie oka i ręki macierzyńskiej — bo wtedy każda rokosz zbrzydnąć może!

Narażam się oczywiście na zarzut zacofania, a jednak twierdzę odważnie: najważniejszą pracę dla matki, jest piecza nad dzieckiem, stworzenie mu ciepłego i zdrowego gniazda — wszelkie inne będą pożyteczne tylko o tyle, o ile z tamtą nie kolidują.

Oczywiście, gdy dzieci te głodne, to matka musi je przede wszystkim nakarmić, choćby kosztem innych, bardzo żywotnych interesów ich i własnych—skoro niema innej rady—bo tu już chodzi o życie. Ale czyż to nie wstyd dla społeczeństwa, że w wielu wypadkach naprawdę innej rady nie znajduje? Pomści się ta brutalność kiedyś na niem samym — bo między złym a dobrym obywatelem taka jest mniej więcej różnica, jak między złem a dobrem wychowaniem domowym. Kto zaniedbuje siew, ten będzie miał i marne żniwa.

Używając wyrazu „brutalność” nie mam na myśli żadnych osób ani instytucyj, lecz sam układ stosunków społecznych. Nie wiedząc, kogo winić,

„nie mam żalu do nikogo”, a najmniej już do owych mężów, przynoszących do domu za swą pracę tak śmiesznie małe sumy, że zarobkowanie żony staje się koniecznością. Trudno, na razie nie może być inaczej! Nie doradzam też nikomu walenia głową o mur, ani równie bezpłodnych narzekań.

Życie ludzkie przynosi czasem takie czarne godziny, które trzeba tylko mężnie przetrzymać. Nie wierzę, aby można było naprawdę dobrze „połączyć” obowiązki pracownicy zarabiającej na życie swoje i dzieci — ale najmniej podziwiam dzielne kobiety, które starają się sprostać temu nadludzkiemu zadaniu.—Stawiają one czoło klęsce równie żywiołowej, jak

choroba lub nęcza — sądzę, że to nie żaden powód, aby się zachwycać samą klęską, jako świadectwem nowej epoki.—Niechże trwają te bojownice, nie tracąc otuchy — a może doczekamy się jeszcze czasów, kiedy znowu kobieta w odmiennym stanie będzie przedmiotem troski całej rodziny, a w pewnej mierze i społeczeństwa — później zaś nie będzie zmuszona dziecka swego zaniedbywać.

Wierzę bowiem, że kultura ludzka — pomimo różnych zbroczeń swoich — dąży nie do wyzyskiwania słabych, lecz do ich obrony, a co za tem idzie, niesie, jako jeden z najcenniejszych swych klejnotów: cześć dla matczyństwa! *Zofja Zawiszanka*

R Z Y M

(Feljeton)

Kobieta, która najdalej w świecie posunęła równouprawnienie, jest to Włoszka, moja gospodyni, ponieważ jest to kobieta, która nosi wąsy. Ona jedna nie zmieniła się przez tych lat dziewięć, zawsze tak samo podobna do wiedzy, a bardzo poczciwa, stoi przy kominie, z wachlarzem z kogucich piór w ręku, którym Włoszki mają zwyczaj dmuchać na płomień. Zresztą zmienił się pod każdym względem cały Rzym. Szał budowania, przerabiania, odnawiania ogarnął całe miasto. Wszystkie bruki porujnowane. Głazy, kładzione może jeszcze za czasów Nerona, leżą na słońcu do góry brzuchem, zapleśniałym w ziemi. Nawet Plac San Pietro cały skopany, schody porozbierane. Nawet w samej bazylice św. Piotra idzie restauracja... posadzki pozrywane. Wszystkie domy muszą się poddać skrobaniu i bieleniu. Mularz tu jest dyktatorem. Co kilkanaście kroków ustępuj mu się, bo cię obleje wapnem — przychodzisz do domu — a on spuścił się, jak pajak po sznurkowej drabinie, zajrzał bez ceremonji do wnętrza, zauważył ze wzgardą, że piszesz i każe ci zamknąć okno. A że rzymscy stróże mają ten sam, co ich warszawscy koledzy demokratyczny sposób zamiatania na sucho, więc z wielkim rozmachem wielkiej miotły kurzawa idzie aż do nieba, a w ustach robi się coś w rodzaju ciasta. Odpowiadają ci, że tak się Rzym przygotowuje do uro-

czystości Anno Santo. Każdy dwudziesty piąty rok uważany jest w Rzymie za święty. Przez cały taki rok Watykan jest ciągle otwarty, papież publicznie widzialny — pielgrzymów spodziewana jest liczba olbrzymia: pięć milionów. W całym Rzymie nie ma wtedy gdzie szpilki wetknąć. To swoim porządkiem, a swoim porządkiem odrabiają się teraz długie zaległości wojennych i powojennych czasów, kiedy to nic się nie budowało i nic nie odczyściło. Za bramą Porta Pia i Porta Womentana powstał teraz ogromny Nowy Rzym — zbudowało się także Miasto Ogród.

Bardzo dobrze! Tam trzeba było przenieść całe życie, rojne i gwarne z całym tumultem i hukem jego rozmaitych spraw. A Stary Rzym zostawić w spokoju. Odwieczny sąsiad skupiony i medytacyjny, trochę artysta, trochę uczony, tak doskonale do ruin pasował! Przecież przy ludnym, hałaśliwym domu zostawia się wielki, milczący park, pamiętam na jakimś muzealnym obrazie: babcia i wnuczka, zupełnie do siebie podobne, przytuliwszy się do siebie, patrzą przez okno na zachodzące słońce. Takim był stary Rzym, przytulony do starożytnego. Ale Włochów ogarnął jakiś niezbożny szal obrazoburców przeszłości... Niema już tego ugoru, porośnięgo niską trawką, który prowadził do Colosseum i tak dobrze przygotowywał. — Colosseum jest

teraz zabudowane, zabrukowane dookoła. Czyżby już byli zbankrutowali Włosi, pozostawiając ten kawałek ziemi bez procentu? Domy, domki, parkany, jakieś mostki włożą mu na plecy i Colosseum wygląda jak stary, połamany kocioł do gotowania bielizny, wyrzucony na śmietnik. — Nie, nie mam ochoty wejść do środka...

.....

Włosi wszystko zmieniają. — Ach i niestety zazwyczaj na gorsze.

Nie mówię, że zgasł ich geniusz — bynajmniej. Ale, jak to się zwykle zdarza: przetransponował się na inne dziedziny. Poszedł w muzykę, w dzieła rozumu, mają pierwszorzędnych uczonych. W Udine został zbudowany amfiteatr na wzór rzymski, pod odkrytym niebem. Dawano w nim Mefistofelesa Boito. Jest chwila, kiedy Mefisto, zwracając się do prawdziwego nieba, które iskrzyło się niezliczonymi gwiazdami, upomina się u Boga o duszę Fausta... A z góry, jak gdyby z tego gwiazdzonego nieba, odpowiadają mu chóry aniołów...

Cały teatr płakał. Człowiek dzisiejszy nieskłonny jest do wzruszeń, lzy uważa za coś poniżającego. To więc daje miarę dzieła!

Ale w dziedzinie plastyki? nie przypisuję sobie autorytetu — ale nie mogę pogodzić się ze zmianą wiel-

kiego ołtarza w kościele Świętego Piotra. Kościół ten to nie jest ewangelja!—to nie jest Chrystus Ukrzyżowany... Dwie córki ewangeliczne Miłość i Bolesć nie tu przychodzą powłóczyć skrzydłem, o ziemię połamanem. Ich możesz spotkać w ciemnych arkadach Duomo Milanese. Rzymska Katedra to jest Kościoła Triumfu i Wielkość. Wyrazem tych szlachetnych murów, o tak szlachetnych proporcjach jest mądrość—jest duma wielkiej misji, czerpiącej z nieba natchnienie i siłę.

To jest bogaty pałac monarszy! Tu zamieszkuje Cezar Cezarów: najjaśniejszy Katolicyzm. Cudowna Kopia Michała Anioła jest hiperboliczną infułą na jego głowie giganta.

Ale był tu jeden szczegół, odznaczony tą prostotą, którą zwykle posługuje się natchnienie: wielki ołtarz. To jest właściwie wielkiego ołtarza tu nie było... było nim okno i olbrzymia tafła szklana, przesycona dniem włoskim, świeciła mocno, w zmierzchach zwłaszcza i zaraniach— a na niej z rozpostartymi skrzydłami rysowała się lecąca Gołębicą biało-złota, w dwóch bukietach roztrzępanych promieni. I dusza wierzyła przez chwilę, że było to okno, otwarte w przestwory niebieskie, z których ten boski Gołąb, zapalający nad głowami płomyki natchnienia, spływał już ku ziemi tak nisko... że wypełniał sobą cały ten olbrzymi kościół— że ze wszystkich stron widziało się tylko Jego.

Niema Go już! Jest zwyczajny, ciężki, bogaty ołtarz, nad którym wysoko, na małej rozstawionej szybie, świeci się żółty placek, z niewyraźnymi zarysami gołębia.

Na placu przynajmniej, prócz szarpniętych tu i owdzie bruków, nic się nie zmieniło! Delikatnie szara kolumnada stoi w dniu szafirowo złotym, zataczając się łukiem, jak ramiona, zaokrąglające się ku objęciu po-

witań. I jak przystało przed progiem Majestatu, wiecznie tutaj tańczą dwie niewolnice: dwie fontanny. Na dwóch wysokich piedestałach, na czubku jednej nogi wsparte, szyję wysmukłą i ramiona skulone w tył przegiąwszy— a wir miota w tę i w tamtą stronę płaszcz ostrokończasty, spieniony muślinem, szumiący jedwabiem i srebrem, zrywając nici frędzel, z których sieją się ciurkiem perły, przy świetle pełnego księżycy— tak, jak przed laty dziesięciu, gdy mieszkałam tu, gdzie i dzisiaj, przy Piazza San Pietro, wychodzę przechadzać się po kolumnadzie. O tej godzinie znikają krzykliwe hurmy dzieci, które dookoła obelisku wyprawiają cały dzień harce, nie bacząc na jego egipskość... Księżyc rzuca wielkie szmaty światła, pasowane cieniem... Gigantyczne kolumny nabierają w nim życia... Pękają ich kamienne powierzchnie, układając się w fałdy habitów, w burnusy i płaszcze... wysuwają się z pod nich olbrzymie stopy bosc w sandałach. Ręce wielkoludzie trzymają księgi otwarte i długie do ziemi różańce—głowy giną w cieniu sklepień. Czasem tylko błyska białkiem w księżyc zwrócone, otwarte, szkliste oko... Idę w ich potrójnym pierścieniu, jak mrówka lezie korytarzem wysokopiennych sosen. A taka moc promieniuje od nich, że niesie mię... że idę po powietrzu.

.....

O, nie przyjeżdżaj nigdy po latach wielu tam, gdzieś kochał, i odjechał z żalem—a myśl wracała... wracała... jak do rajy.

Nie przyjeżdżaj, bo sobie ten raj fantazji zrujnujesz i myśl nie będzie miała gdzie już chodzić.

Nie przyjeżdżaj do Włoch, jeśliś je znał i kochał dawniej...

O—przepraszam—Włosi są zawsze jeszcze bardzo dobrzy, wyjątkowej wartości ludzie—ale..

Jest to rzecz ogromnie niebezpieczna wielka piękność, albo wielka dobroć, wymagania dostosowują się... Cóż znaczy parę zmarszczek na popolitej twarzy?! niekiedy brzydota na starość pięknieje, bo stanowi mniejszy z nią kontrast. Ale anielskość, jeśli nas rozczaruje jednym fałszem w głosie, jednym o włoskach niedociągnięciem do skali... Jest to rozczarowanie, którego jej nie darujemy nigdy...

Włosi są bardzo zacni i mili ludzi—ale ta włoska gentilezza?... gdzie jest ta włoska słodycz?!!...

Dusza ich także stwardniała— a choć zawsze jeszcze mniej, niż inne—my, cośmy ją taką kochali, pogodzić się z tem już nie możemy,

Przed laty moi przyjaciele Włosi, gdy się już dobrze ze mną zżyli, zwierali mi się przyciszonym głosem „Kochamy Polskę—uwielbiamy Polskę, ale... tę, która była ongiś! dawniej... Polskę Kościuszków i Mickiewiczów—Polskę z 63 roku... Tej, której dziś—nie...”

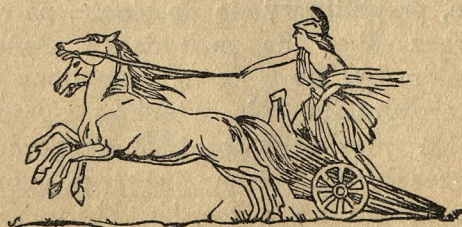
Ja wtenczas spuszczałam głowę...

A teraz i ja im powiem: „Kocham Italję, uwielbiam Italję—ale tę, której cudowne rysy nikt już na ekranie mojej pamięci”.

Pisałam ongiś „Wszędzie są grzeczni dla młodej, pięknej i strojnej kobiety—ale Włosi są grzeczni dla starej gałganiarki. Niech wejdzie do przepełnionego tramwaju i zachwieje się na nogach, ręce wszystkich mężczyzn wyciągają się, aby ją podtrzymać—i to tak samo dłonie pańskie w kosztownych rękawiczkach, jak i namozolone ręce operaję”.

Dziś może sobie spokojnie zaryć nosem w błocie... Jeśli jej kto zrobi miejsce, to młoda kobieta (tak samo, jak w Warszawie)!

Marja Grossek-Korycka



Z DZIENNICKA MARYSI

W Warszawie

nie wolno biegać po trawie.
W ogrodzie są takie zielone trawniki,
Nie chodzą po nich koniki.
Ludzie także nie chodzą, ani dzieci,
Ale piłka, to się czasem po nich przeleci.
Mówiłam jej, że tak nie można.
Piłka jest bardzo nieostrożna.
Będzie źle, jak ją kiedy stróż złapie i zbije,
Ja widziałam w jego budce dwa grube kije.

Bawiłam się z małym chłopczykiem,
on piłką, a ja—balonikiem.
Do błota się piłka chowała,
i ciągle nam rączki walała.
A balon pomyślał, że trzeba
z ptaszkami polecieć do nieba.
Więc zerwał się prędko z niteczki,
już gonią go tam aniołeczki!
Jak będę modliła się ładnie,
to z nieba balonik mi spadnie.

Nie wiem, co się to stało:
Lalka ma twarde ciało.

A Zosia, choć taka malutka,
jest przecież zupełnie mięciutka.

Ta Lalka musi być chora,
Chodźmy po Pana Doktora!

Bardzo się dzisiaj zmęczyłam,
bo siostrę moją bawiłam.

Choczek do buzi jej dałam.
O gąskach jej zaśpiewałam.

Ale Zosia nic mnie nie słuchała,
tylko ciągle jeść i jeść wołała

Ona cały dzień tak woła, mój Boże!
Przecież brzuszek z tego pęknąć może.

Święty Mikołaj chodzi w futrze i w dużej czapie,
ale on dzieci do worka nie łapie.

Ja się go nic a nic nie bałam,
jeszcze kolebę mu śpiewałam.

Powiedziałam, że gwiazdeczka świeci
i że tu mieszkają grzeczne dzieci.

Wszystkie piłki gdzieś się pochowały.
Myśmy ich długo razem z Zosieńką szukały.

Ale już więcej nie mamy siły,
Więc będziemy teraz obie garnuszki myły.

Jak Kasia przyjdzie sprzątać pokoje,
poznajduje zabaweczki Zosi i moje.

Ale piłek pewnie w żadnym kącie nie spotka.
Czyba je pod szafą znajdzie ta duża szczotka.

Nie wiem, czyja jest Zocha?
Panna Julja ją bardzo kocha.

A Zosieńka woła na nią: „mama”.
Czyją jest córeczką — nie wie sama.

Teraz nic złego się nie stanie,
bo my mamy jedno mieszkanie.

Ale jak panna Julja pojedzie gdzie w drogę?
Ja jej przecież mojej siostry oddać nie mogę.

Były takie niegrzeczne aniołki,
co fikały po niebie koziołki.

W brudnych chmurkach się ciągle kąpały
nigdy Bozi usłuchać nie chciały.

Więc się Bozia na nie rozgniewała
i na czarno je pomalowała.

Dużo wzięła atramentu: pełne dwa kubeczki.
I z tych psotnych aniołeczków zrobiła djabełki.

Nie będę z tego kubka piła.
Znowu sukienka się splamiała!

Ja z kubkiem o tem grzecznie mówiłam.
Nic się na niego nie złościłam.

Jakbym krzyknęła, że tak nie ładnie,
to on mi jeszcze ze stołu spadnie.

Weszka

we włosach u brudasków mieszka.

Trzeba się przed nią chować,
bo można zachorować.

Ta weszka musi być spora,
kiedy ugryzła nawet
Pana Doktora.

Tramwaj tak ładnie „dziń-dziń” dzwoni,
jak kogo przez ulicę goni.

A jak kto stanie zdaleka,
tramwaj przedziutko ucieka.

Ale najgorsze te samochody —
Trzeba się chować przed nimi na schody.

Do bramy nawet wjeżdżają,
i jeszcze na ludzi czekają.

Gdzie się podział zóraw z tej ulicy?
Może leży gdzie w ciemnej piwnicy.

Może zrzębał go kto na drewnienka,
może wrzucił do tego okienka.

Od słoneczka pewnie wyschła woda.
Dla koników to jest wielka szkoda.

Na Wilczej ulicy wilczki mieszkały.
A powiedz, przez którą bramę wbiegały?

Ile ich razem, Mamusiu, było,
Ile się w każdym domku zmieściło?

MARJA DĄBROWSKA

N O W E L A

ŁUCJA Z POKUCIC

Kto jest Łucja, wiadano w Rusocinie dobrze, gdyż była z tej samej okolicy. Jeszcze na siedem lat przedtem, zanim zgodziła się za oprzędkę, mówiło się dużo o jej zamęściu. Nie była to wcale historia pospolita, chociaż nie pierwsza w tych stronach.

Łucja, najmłodsza z sześciu Bogaczówien, nie poszła za gospodarskiego syna, jak inne siostry, tylko za dworskiego parobka z Pokucic, Władysława Nowackiego.

Nikt się nie mógł sprzeciwić, gdyż Łucja była w ciąży. Starzy Bogacze wszystkie córki powydawali niewinnymi pannami, a nie upatrzili tej najmłodszej.

W noc wesela, które odbyło się u rodziców narzeczonego, tam gdzie służył, starzy siedzieli sami przy żółtej lampce, klóćąc się twardo o utraconą niewinność Łucji jako też o jej niestosowne zamążpójście.

Potem rzeczy się jakoś ułożyły, lecz nienajlepiej, bo Łucja była przez ten czas u rodziców z mężem raz, a potem sama ze dwa razy. Jednak stosunki nie były zerwane — tylko, że sama Łucja nie ciągnęła do starego domu. Była zbyt prosta na to, żeby hodować w sobie kilka uczuć różnego rodzaju. Chłop jej był piękny i silny, a ona była gorąca, młoda i pełna chęci. Miłość świeża, ostra i niewymagająca wypełniała jej serce od brzegu do brzegu, czyniąc ją szczęśliwą. Oprócz tego miała dziecko i zwykle gospodarstwo ordynariuszki — na nic więcej nie było czasu i nie było też ochoty. Nic więcej zdawało się nawet nie istnieć na świecie.

To też tego dnia, którego po siedmiu latach pożycia Władysław Nowacki odjechał na wojnę japońską, Łucja powiedziała, że świat się nad nią skończył i że niema już więcej życia.

Lecz doszedłszy ubogą myślą do tego wniosku — pierwotnym instynktem szukała tego życia. Szukała czegoś, coby ją na nowo z bytem związało.

Jej kroki skierowały się naturalnie tam, gdzie życie było dla niej, zanim poznała Władysława — do rodziców.

Bogacze mieszkali w Rusocińskiej kolonji, która jest odległa o trzy wiorsty od Pokucic, a o dwie od Rusocina.

Wszędzie mieli krewnych, więc jakiś czas mówiło się i w Rusocinie o tem, co zaszło pewnej niedzieli, kiedy Łucja przyszła do rodziców.

Wszyscy widzieli, siedząc w porządku mieszkań przy oknie, albo stojąc przy furtce — jak Łucja szła.

Najpierw szła drogą Pokucicką, na którą liście już spadły i którą

jesień oblekła w przestraszającą jasność. Potem skręciła do wsi.

Domy Rusocińskiej kolonji, schowane za niskimi żywopłotami z ligustru, były pogrążone w szumie olbrzymich srebrnolistnych topoli. Teraz liście topoli stały się szare i sypiąc się z drzew, pędziły po drodze jak myszy. Córeczka Zosia puściła rękę Łucji i biegła naprzód, podskakując, jak czynią dzieci, kiedy myślą, że ich nikt prócz matki nie widzi.

Obydwie znikły za furtką domu Bogaczów — a po wielu godzinach młodzież, wałęsająca się przy niedzieli po drodze, usłyszała, że się tam klóćca.

Nieduży dzień jesienny uchodził, pachnąc jabłkami, zimne rosy padać zaczynały na ciemniejszy świat, a u Bogaczów klóćcili się coraz głośniej. Nie w domu już, ale na podwórzu, a potem przy furtce, gdzie ojciec i matka stali razem z Łucją, ciągle krzyżąc — Łucja stała z jednej strony, a oni z drugiej, trzymając się pięściami za żerdki.

Wtem umilkli i zmrok natychmiast się zwiększył.

Przez szumiącą drogę biegła teraz — płacząc, Łucja i szare liście pędziły razem z nią na spotkanie olbrzymiej, szkarłatnej zorzy.

Ci, którzy wiedzą, jak się rzeczy miały, utrzymują, że niekiedy indziej, tylko tego samego wieczora po jej powrocie do Pokucic przyszedł do Łucji po raz pierwszy Michał Ziąb, syn wóldarza. Wracał z gminy i przyniósł list od Władysława.

Po raz drugi widziano u Łucji Michała, gdy szatkował jej kapustę.

Tak, oto znowu stał w izbie Nowackich mężczyzna pogrążony w pracy dla tego domu.

Seledynowe i białe skręty kapusty, z tępym odgłosem, podobnym do żucia wywijały się przez szatkownicę, kawałki głąbów przyskały na boki z krzepkich rąk, a nozdrza wciągały zapach warzyw i surowy.

Było to tego dnia, kiedy ludzkie krowy się wzdeły.

Ma się rozumieć Łucja nie była jedyną, której krowa wtedy padła. Zdechło ich pięć, w tem dwie rezerwistek.

Nazajutrz wszyscy spoglądali na dwór, szukając w nim wątpliwego ratunku. Pod bystrem słońcem i promieniście wysokim niebem stał zapadnięty, rozgrodzony, zasypany ulewą liści, sam jakby goły i cały w pręgach dzikiego wina, jak w strugach krwi.

Olbrzymie pudło karety podjeżdżało, błyskając oknami i wywlekając zwolna swe koła z chrupiącego listowia.

Liście kasztanów skakały po sprychach i skakały po wierzchu ka-

rety, podobne do stulonych bronzowych dłoni.

W Pokucicach zawsze stało wszystko na ostatnich nogach, lecz teraz, kiedy państwo wyjeżdżali za granicę, ze swoją umierającą na suchoty panną — zrobiło się jeszcze gorzej. Ludzie wiedzieli dobrze, co teraz nadchodziło. Niezałatane dachy. Urwane ordynarje. Niezapłacone dniówki. Rządca wyjrzy przez okno, za którym stać będą ludzie. Zamknie je i znów odemknie. I powie: Jutro.

A teraz jeszcze krowy! Nikt nie miał wielkich nadziei co do tego, że dwór będzie wydawał mleko, jak się należy — a szczególnie rezerwistkom, które odczuwano w majątku jako ciężar.

Lecz Michał Ziąb dopilnował przez ojca, żeby rezerwistki miały mleko, gdyż jedną z nich była Łucja.

Stary Ziąb dobroduszenie sam chodził do doju pilnować, żeby nieszczęśliwe kobiety nie miały krzywdy.

Łucja nie zabiegała o to, gdyż umiała kurczyć swe potrzeby, jeżeli chodzi o jedzenie. Lecz skoro się stało lepiej niż myślała, dźwignęła się na duchu, jak dźwiga się każdy, kto doznał od ludzi nieproszonej, a skutecznej pomocy.

Wtedy to dobrzy ludzie przyszedli do Ziąba i powiedzieli mu, że Michał żyje z Łucją i dlatego tak dba o to mleko.

Stary Ziąb nie uwierzył, lecz mimo to rozpoczął ożywioną działalność. Widziano go jak chodził do Rusocina, gdzie zapewne przyspieszał sprawę ożenku Michała z tamtejszą owczarżówną i jak chodził po coś do Rusocińskiej kolonji do Bogaczów. Bo to, co mówili ludzie, jedni przez złość, drudzy przez dobroć, to była prawda.

Upewniono się co do tej rzeczy w dniu, kiedy na oczach wszystkich Michał przyniósł Łucji słomy na łóżko. Szedł zanurzony głową w złocisty snop, a jasne źdźbła wymykały się i wlokły po ziemi. Podwórze było już śniade i słońce świeciło na nie wąskim pasem z pomiędzy stodół, jak w pokoju. Ciężar Michała pałał mu nad głową, a syk słomy wznoszący się i cichnący, w miarę jego kroków ogarniał go czemś ciepłym i pofnmem, i Łucja na to patrzyła.

Gdy we dwoje rozpostarli na słomie płachtę, zapragnęli ma się rozumieć na tej płachcie razem spać i tak też uczynili.

Po kłótni z ojcem, — bo doszło do tej kłótni, — Michał przestał nawet chodzić do domu na obiad. Spał też nie w stajni, lekceważąc sobie służbę, tylko z Łucją. Mówiąc prosto mieszkał z nią, cudzołożąc z tą

samą dobrocią serca, z jaką jej pomagał obrządzić wszystko na zimę.

Michał, chodząc, rozstawiał nogi nieco za szeroko. Przez to zdawało się właśnie, że stąpa rozważnie i pewnie. I to się Łucji podobało — to nawet rozpraszało jej smutne wątpliwości co do grzechu, jaki popełniała, odwlekało myśl o spowiedzi w niewyraźną przyszłość.

Młody kochanek Łucji mówił mało, tak samo, jak i ona, to też nigdy pewno nie doszli do rozmowy o tem, co zrobili. Przez to przewinienie wydało się mniejsze i dalsze.

Lubił on się też pośmiać, ale z chłopami — z nią, z Łucją — nie. Do niej uśmiechał się tylko, milcząc, lub mówił niegłośno:

— Idziesz?

— Przyszłaś? Pójdź, naniesiemy drewek

— Siądź sam, Łucyś, siądź kole twojego chłopca. Miło ci je?

I takie różne proste słowa. O niczem więcej, lecz jej nie było więcej trzeba. Żyła znowu tem, czem przyzwyczaił ją żyć Władysław. Potężny młodzieniec huśtał ją w uściskach do

snu, a we dnie był dla niej dobry.

Myślała, że tylko Władysław tak potrafi, lecz okazało się, że z innym też można żyć nienajgorzej. Dokonywało się to samo przez się w ten prosty, a niezrozumiały sposób, którego, ani Łucja, ani Michał nie potrafili by nikomu wytłomaczyć.

Łucja nie miała dobrej pamięci, ani wielkiego serca. Nie umiała żyć wspomnieniem, i nie umiała żyć oczekiwaniem przyszłości.

Jej życie teraz i dzisiaj musiało być wypełnione szczerze prostymi zabiegami bytu. Pragnęła jeść, spać, pracować, chodzić koło dziecka i oddawać się mężczyźnie.

Władysław nasycił zupełnie jej potrzebę miłości i dopiero teraz Łucja poznała jak silną, drapieżną jest jej nocna tęsknota, dopiero teraz poznała, co to za męka dla niej nie mieć z kim spać. Ma się rozumieć, chciała dochować wiary Władkowi, gdyż nawet nie myślała, że ktoś by mógł jej udzielić tej słodyczy co on. Lecz był taki co mógł, a chwytając go w objęcia, Łucja na skutek swego postu, była bardziej spragniona, niż kiedy

pierwszy raz zaznała Władka. Była wprost spieczna jak pustynia.

Ludzie ich obmawiali i patrzyli zdumieni, jak nieraz Michał siedział na przyźbie pod oknem Łucji ciężki, spokojny, łagodny, jakby z nią nigdy w domu tym niejawnogrzeczył.

I patrzyli zdumieni jak nieładną, płaską twarz Łucji rozżarza łuna, bijąca zwykle z twarzy młodych kobiet, które drugi raz doznają miłości. Drugi miłość rozległa się jak druga nuta i po samotnym dźwięku pierwszej, zaczynała tworzyć melodię.

Oczywiście nie mogło to tak trwać długo. Starania Ziąba nie były nadaremne. Wesele Michała z Szymanderówną z Rusocina zbliżało się tanecznymi krokami. Młody Ziąb nie mógł się oprzeć, gdyż wiedział dobrze, jakie są jego obowiązki wobec życia i rodziców. A podczas, kiedy Łucja płacząc pytała kochankę, czy to prawda, że się przeciw niej zma-wia—rodzina Bogaczów, potajemnie dawała znać o sobie okreśną drogą. Trzeba bowiem wiedzieć, że w Rusocinie służyło wtedy dwóch Kuczów, braci tego Kuczy, za którym była Jadwisia Bogaczówna. (c. d. n.)

25)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(o w i e s i ó)

— Płacemy z wami... — mówią siwe role podlaskie.

— I my! i my!... — chwieją się w wietrze nagie badyle przydrożnych, dzikich róż.

Wjechali w brzozowy, piaszczysty las, a za lasiem w bok—droga polna, kopiec i stary, garbaty pień wierzby rosochatej, dziurawego schroniska strachów...

— Skreśl! — rzekła wierzba i skreścili na dróżkę wśród pól.

Mroczno. Coraz mniej widać we mgle, ale słyhać, że ktoś jedzie naprzeciw. Już ich mija:

— Stój!

Stanęli.

Po rosyjsku:

— A wy skąd i za czem?

— Z Warszawy. Za handlem. Jajka skupujemy po wsiach.

Strażnik odkrył, przysłonięty płachtą, kosz, wybrał piętnaście największych jaj, związał w chusikę i już ruszał ku swojej furmance, gdy przypomniał sobie obowiązki swego urzędu.

— A pasport u was jest?

— A jakże, panie naczelniku!

Kupiec wydobyl pośpiesznie pasport i zaświadczenie firmy hurtowniczey w Warszawie.

Strażnik, zbadawszy dokumenty, przy świetle zapalki, zwrócił się do chłopca.

— A ty skąd?

— Z Białej. Ja najęty, panie..! — śpiewnym podlaskim akcentem rzekł chłopiec.

— Jak się nazywasz?

— Deniuszczuk Hryć.

Strażnik poświecił mu zapalką w oczy. Wyras łagodnej i obojętnej tępoty leżał na twarzy ładnego wyrostka.

Strażnik skinął ręką.

Jegomość uchylił czapki. Chłopak nie spiesząc się zgarnął lejce w garść, cmoknął na konia i ruszyli zwolna dalej, w mrok, we mgłę, wąską drożyną wśród nagich, smętnych, splakanych pól...

Zapadł wieczór:

...Przyszedłem do was, niewo!nicy —mówił—niosę wam skarb ciemności! biore w was fałdy czarnego mego płaszczka, nikczemni, słabi, kryjący się...

...Na płaszczu moim niema dziś ani jednej gwiazdki! czarny jest z mroku nieprzeniknionego utkany. Ukryje was.

I przywiódł ich wieczór szczęśliwie do dużego pańskiego dworzyszczka.

U bramy zameldował się kupiec, że chciałby się widzieć z panem Wincentym, kamerdynerem p. ni, którego stryjecznym jest i przywozi mu pozdrowienia od syna chrzestnego z Warszawy. Prosił, żeby powiedzieć, że przywozi mu pozdrowienia od chrzestnego syna.

Niedługo czekał.

Nadbiegł żywo starzec o pańskiej postaci i witając się, a patrząc kupcowi bystro w oczy, spytał:

— A mój chrześniak, jakże tam, zawsze na Solcu?

— Nie, przeprowadził się na Długą — odparł gość

Wtedy kamerdyner przywołał kogoś ze służby stajennej, kazał wózek i konia wprowadzić na podwórze, zaś kupca i jego woźnię wiódł do mieszkania swego w oficynie.

I stało się, że hrabina Róża zapragnęła pomówić z krewniakiem swego kamerdynera.

Przez park czarny i wilgotny poprowadził Wincenty do wnych gości na oszkloną werendę, a stamtąd do gabinetu, którego jedyne okno wychodzące na park zaryglowane było szczer-

nie okiennicami i przysłonięte grubą portjerą.

Lokaj, wprowadziwszy przybyłych, zamknął najpierw starannie podwójne drzwi od werendy, potem dopiero zapalił w pokoju światło. Gabinet ten był niewielkim ośmiobokiem o ścianach lustrzanych od góry do dołu. Od sufitu zwieszał się piękny, kryształowy pajak. Na środku stał stół, pokryty perskim dywanem i dokoła kilka foteli. Na podłodze puszysty kobierzec. Zresztą nic więcej.

Jak byli zmoczeni całodzienną szarugą, tak weszli ci dwaj do owego eleganckiego salonu i naraz odbiły się w zwierciadłach ich grube zabłocone buty, zwiśla od deszczu kapota kupca i siwa, krótka sukmanka chłopaka. Zwierciadło podawało zwierciadłu ich odbicia i doznali dziwnego wrażenia, że ich tu naraz wszedł tłum...

Wincenty popatrzył na nich uważnie.

W drodze z oficyny do pałacu twarz kupca pozbyła się sumiastych wąsów i stał się odrazu widocznym typ księdza, o ciemnych, egzaltowanych oczach. Kamerdyner skłonił się z uszanowaniem.

— Zaraz zamelduję.

Weszła kobieta w średnim wieku, ubrana z wielką prostotą i rzuciła się całować ręce apostoła Unji. A jemu nagle promień strzelił z czoła, ziewając codzienną pospolitość rysów; oczy rozgorzały...

— Bądź błogosławiona — mówił szeptem — że tu jedna, jedyna z możliwych stoisz pod znakiem Krzyża i ocierasz krwawe, Chrystusowe łzy. Mówili mi o tobie unicy. Ich świadectwo będzie ci odkupieniem, choćby największych win! Ale na Chrystusa Pana! Gdzież inni?! Wydali ten lud na pastwę katom! Zamknęli uszy na jego jęk. Zasłonili oczy na krew, na katusze, i na to światło, co z ziemi tej bije na cały chrześcijański świat!

Przymknął oczy i była chwila ciszy.

— Ojciec — rzekła hrabina — ten lud, choć zda się opuszczony od Boga i ludzi — wytrwa. Wytrwamy wszyscy!... tylko przychodźcie do nas częściej. Czekają Was jak zbawienia: starcy ze śmiertelnością, młodzi ze ślubami, dzieci ze chrztem... ach dzieci, to największa tragedia tego ludu!...

Kamerdyner zbliżył się i oddał jej klucz od drzwi ogrodowych.

— Pani hrabina niech nie otwiera, choćby kto stukał. Ja sobie pochodzę po parku.

— Dobrze, dobrze, ale herbaty jaknajprędzej i coś do jedzenia! Zgłodniała się, przeziębli!...

Zwróciła się do młodego woźnicy i uściśnęła go serdecznie.

— Przemokłaś — rzekła — zrzuć tę świtkę, przeschnie tymczasem, weź mój szal.

W jednej chwili przebrała Hrycia, szcztoką przyniesioną z sąsied-

niego pokoju uładziła mu płową czuprynę.

— Szkoda włosów!

— Szkoda, ale to drobnostka! — uśmiechnął się Hryć uśmiechem niewypowiedzianej słodyczy.

Mówili wciąż półgłosem, tym niskim a dźwięcznym tonem, którym mówi się, gdy dusza pełna jest niepokojem, a zarazem cichej, świętej radości.

Zasiedli do wieczerzy we troje: hrabina Róża z handlarzem jaj i powożącym go wyrostkiem. — Wincenty sam obsługiwał, a w przerwach obchodził badawczo sąsiednie pokoje, przekręcał klucze w zamkach, lub wybiegał do parku. Wracając powtarzał:

— Doskonała noc! Ciemno, choć oko wykol!

Biesiadujący rozmawiali przyciszonym głosem. Padały w rozmowie imiona męczenników, niewiarogodne ilości zniesionych rąk, samobójstwa w płomieniach, dzieciątka ręką matek zabijane... Ponurą historję podlaskiej Golgoty umiała hrabina Róża na pamięć.

Wieczera i odpoczynek trwały krótko.

Hrabina przywołała kamerdynera.

— Wincenty niech teraz siądzie tutaj i powie, jak to będzie.

Zniżywszy głos do najcichszego szeptu, układali plan kampanji. W pół godziny później wyszli we czworo do parku. Zanim otworzono drzwi na werendę, zgaszone zostały światła w pokoju.

Hrabina, w prostej, grubej spódnicy i chustce na głowie, ujęła pod rękę Hrycia i mocno przycisnęła jego ramię. Wincenty prowadził księdza.

Mężczyźni szli pierwsi, kobiety za nimi, a noc w parku czarna była i totnie „choć oko wykol“. Ale kamerdyner i pani znali drożyny, wiodące z parku wprost do wielkich, posępnych, muzyką nocną szumiących lasów.

Puszczą czarna i noc czarna wzięły ich w siebie.

.....

Jęknął Dziw, król uroczyska, pomarłych dawno plemion stary bóg, gdy o północy ludzi gromada zjawiłszy się na polanie, moczarami oddzielonej od świata, zmąciła mu wiekową zadumę.

Był tu ołtarz jakoby: wśród niebosiężnych dębów i sosen, wyrosłych na powalonych pniach dziadów i pradziadów — głęboko w ziemię zaryty głaz. Głogi i ciernie, jeżyny i borówki oploty go wokół miłośnie i kornie, że był dla oczu ludzkich niewidoczny prawie. W pobok — cieniutka nitka strumienia, ginąca kędyś w położonych niżej bagniskach.

Tu mieszka Strach-Dziw.

Tu też nikt nie przychodzi nigdy, chyba stara Olechna zioła rwać, bo nad strumieniem zioła rosną wyborne, dobre i na choroby i od żegnania, a pono i na czary, a nawet śmierć nagłą.

Ale tej nocy czarnej, nieprzeniknionej przyszli tu ludzie. Dziw-duch przeznał duchy i jękiem ozwał się z pod głazu.

Wzdrygnęli się ludzie i z zapałym oddechem nasłuchiwali...

— Toć tu zawsze straszy — szepnął ktoś.

Jakby tem zapewnieniem uspokojeni, siadali wokół na powalonych pniach, chłonąc w milczeniu ciszę, ciemność i chłód puszczy. A szło ich coraz więcej i więcej, jakby się wszystkie ruszyły naraz wioski unickie. Puszczą stała się ludna nimi, a przecie cicha była jak przedtem, że mocne bicia serc w chłopskich piersiach doślyszęby można.

Aliści, o pewnej chwili, szmer się uczynił znaczniejszy i od tego momentu ci, co byli bliżej głazu, słyszeli tłumiony starannie, ale nieustający szept. To lud męczeński wyznawał tak drobne przewiny swoje, małe grzechy prostego człowieka.

Dopuszczano do spowiedzi tylko starców, chorych i brzemienne, na rozwiązaniu, niewiasty.

Było już dobrze po północy, gdy na głazie zapłonęły dwa nikle światełka i rozległ się srebrnego dzwonka dźwięk leciuchny. Po tłumie ludzkim przeleciała iskra: zapadły kolana w grząską ziemię, wyciągnęły się ku górze ręce, w niemem uwielbieniu.

Na czarnem podłożu puszczy jaśniało nieziemskim blaskiem oblicze Królowej z Jasnej Góry.

W zamartej mowie Rzymian kapłan łacińskiego obrządku oddawał cześć Panu na wysokościach. Wiara, którą do tego kraju przynieśli przed wiekami „ludzie obcy dobrej woli“, wiara, władczyni przejasna prostych dusz powiązała ze sobą te wszystkie serca, tak, że były jednym, wielkim, miłością bezgraniczną, żalem bolesnym i żywą wolą bijącym sercem ludu.

Kapłanowi na bladą twarz padały niekiedy blaski od płonących na ołtarzu wysokich świec, gdy czyniąc nabożeństwo, z rozłożonymi rękoma zwracał się do niewidzialnego w ciemnościach tłumowi wiernych.

— Pan z wami!

I znów zadzwoniły dzwoneczki srebrzyste: Kapłan podniósł w górę Ciało Chrystusowe i przez chwilę nad pochylone w pokorze głowy unitów zawisła w powietrzu przejasna postać Zbawiciela Światów...

— Al! Al! — wyrwał się z piersi ludzkich ekstatyczny jęk, a potem płaczu wielkiego wicher poszedł po całym tłumie, trzęsąc tem zbiorowiskiem dusz ludzkich i ścieląc je ku ziemi. Od tych szlochów ludzkich rozplakała się cała puszcza. Rozjęczały się jodły czarne i przyziemne leszczyny — woda i powietrze brały w siebie ludzki ból i szloch. Noc ciemna kłała po ziemi i niebie pieśnią ponurą: Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny!

PAUL BOURGET

NOVELA

Z CYKLU: „TRAGEDJE TAJEMNE“.

WYPADEK SAMOCHODOWY

Podczas, gdy gubiłem się w tych daremnych rozmyślaniach, hrabia wstał. Słyszałem jak mówił do żony.

— Zamówię powóz na czwartą... Pojedziemy na spotkanie Prospera. Tymczasem pójde załatwić moją korespondencję. Czy pozostaniesz tutaj?

— Tak, — odpowiedziała. Za chwilę pójde przejść się po lasku z Miss i z dziećmi...

Spoglądałem na grubasa, gdy odchodził z zapalonem cygarem w ustach. Żona jego pozostała sama. Jeśli nie wykorzystam tej chwili, to druga taka się nie zdarzy. Wśród niepewności mojej, wybrałem sposób najbardziej naiwny, najmniej dyplomatyczny. Miał tę dobrą stronę, że całkiem odpowiadał intencjom zmarłego. Na sąsiednim stoliku, ujrzałem pióro, papier i atrament. Napisałem do hrabiny list, którego każde słowo dotąd mam w pamięci.

Szanowna Pani!

„Proszę mi wybaczyć, że ośmielim się pisać, będąc Jej nieznanym. Usprawiedliwia mi to, że pozostawiłem w Cortine d'Ampezzo rodaka, p. Prospera Delorme, którego znałem w Paryżu, dość ciężko rannego wskutek wypadku samochodowego. P. Delorme życzy sobie, aby mąż pani dowiedział się o tym wypadku inaczej niż z gazet. Prosił mię, wiedząc że jadę do Toblach, abym panią najpierw uprzedził. Spełniam to polecenie, mając pewność, że przebaczoną mi będzie niepoprawność mego postępków, gdyż nie mam żadnego sposobu być pani przedstawiony. Jeśli pani życzy sobie usłyszeć szczegóły, oczekuję na jej rozkazy w ogrodzie hotelowym...“

List ten oddałem portjerowi, prosząc, aby wręczył natychmiast. Udałem się do ogrodu, tak jak wspomniałem w liście. Rozciągał się po drugiej stronie domu i dotykał lasku, gdzie hrabina miała zamiar przechadzać się z dziećmi. Byłem tam ledwo od pięciu minut, gdy ujrzałem p. de Charlix! Ach! jakże miał rację umierający w Cortine, gdy chciał, aby wiadomość o jego śmierci dosięgła ją samą, zdala od męża i oczu ciekawych!! Szał rozpaczy, w jaki list mój ją wtrącił, całą prawdę wyjawiał. W ogrodzie byłem tylko ja, pomylić się więc nie mogła. Lecz gdyby było sto osób, instykt— pewny jestem tego — skierowałby ją

ku posłańcowi, przyslanemu przez ukochanego. Odbiegła ją ostrożność wszelka. Z oczami rozszerzonymi grozą, mnać list mój w rękę, głosem zdławionym przez wzruszenie, zapomniawszy o wszystkim—i o swem stanowisku społecznym i o tem, że mię nie zna, i o tem, że mąż może szukać jej i nadejść lada chwila, wybąkała:

— On nie żyje, prawda?

Spojrzałem na nią. Zrozumiałem, że mam przed sobą jedną z tych dusz odważnych, z którymi wszelkie wykręty są zbyteczne. Umieją cierpieć.

— Tak jest, — odpowiedziałem poprostu, nie żyje już...

Oparła się jedną ręką o pień drzewa, aby nie upaść. Powieki opadły jej na chwilę, zakrywając oczy, z których żadna łza nie wytrysła. Stała się tak białą jak papier listu, który wciąż ścisnęła w rękę. Poczem powieki jej podniosły się, krew powróciła do policzków, wyprostowała się. Ale energia moralna ma swe granice. Jej wola opanowania się nie mogła przeszkodzić temu, że serce biło jej aż w gardle i że brakło jej tchu. Zaledwo wymówić zdołała:

— Niech pan mi wszystko opowie.. Chcę wiedzieć wszystko...

I mówiąc te słowa, kierowała się ku furtce ogrodowej, wychodzącej na las. Poszedłem za nią i szliśmy w ten sposób: ona, z głową spuszczoną, wpatrzona uparcie w ziemię, ja, opowiadający jej pokrótce dzieje złowrogiego wypadku. Nie sądzę, abym zapomniał kiedy o tych chwilach—bo były to tylko chwile—ani sylwetkę tej ślicznej i młodej kobiety, która ustroiła się na powitanie miłości swojej. Do piersi obciśniętej błękitnym stanikiem, i wznośzącej się tłumionem łkaniem, tuliła pugilares, który jej wręczyłem. Wokoło nas roztaczał się radosny czar wiosennego popołudnia. W powietrzu unosiła się ciepła woń topniejącej w słońcu żywicy. W pamięci mej wyryły się szczegóły drobne: olbrzymie mrowiska na drodze, które jej drobne nóżki omijały machinalnie, polna mysz, przebiegająca drogą, jasna zieleń mchów, przetkana storczykami dzikimi i gencjanami... W jakiejś chwili—stała.

— Dziękuję panu, — powiedziała z prostotą. Oto list pana, który lepiej zniszczyć... Jeśli pan wraca do Cortine, to spotkamy się z pewnością.

Skinęła głową, zegnając mię tym ruchem. To, co myślałem o niej, wnioski, jakie mogłem wyciągnąć z jej zachowania, plotki, jakie mogłem rozsiewać po powrocie do Paryża—ach! jakże mało dbała o to wszystko! Musiała—zanim nie pokaże się mężowi—swobodnie i bez świadków pozwolić wybuchnąć pierwszej rozpacz. Zawróciła w stronę hotelu. Opuściłem ją i udałem się w innym kierunku, chcąc uszanować jej ból. Nie mogłem się powstrzymać, aby się nie obejrzeć—po kilku krokach. Nie było już jej na drodze. Ponieważ rzeka była tuż, zadrżałem na myśl, że może uległa pokusie samobójstwa i pobiegła w tamtą stronę. Zawróciłem z powrotem i nagle stanąłem. Tłumiona skarga płynęła ku mnie z gęstwiny wielkich drzew, jęk namiętny i tem bardziej przejmujący, że powstrzymywany daremno. Odsunąłem gałęzie i ujrzałem nieszczęsną, która upadła na jakiś kamień i szlochała, szlochała, z twarzą ukrytą w dłoniach. Tego łkania nie zapomnę też nigdy. Było to wołanie bezsilne, samotne, zrozpaczone, i któremu nie wolno nawet było wybuchnąć w całej pełni—ku ukochanemu człowiekowi.

Gdyby nie dzieci, z pewnością byłaby poszła za nim...

V.

...Lecz były dzieci. I tegóż wieczoru, pozostawszy w hotelu, aby widzieć koniec tego dnia niebezpiecznego i pomóc jeszcze biednej kobiecie w razie potrzeby, znowu się z nią spotkałem i skonstatowałem natychmiast, że z racji dzieci—znajdzie odwagę, aby żyć dalej. Znalazła ją w sobie, aby wrócić i rozmawiać z mężem, jak gdyby nic nie zaszło. Teraz znowu miała siłę zasiąść do obiadu z mężem, dziećmi i nauczycielką. Przez jakąś ironię złowieszczą, sześć nakryć było przygotowanych na stole, przy którym widziałem rano małżonków. Pani de Charlix przywdziała strój wieczorny, a dla ukrycia strasznej bladeści, uróżnowała policzki. Zdawała się wcale nie dostrzegać mojej obecności. Zrozumiałem ze słów kilku zamienionych z mężem, że poprostu wymówiła się migreną od towarzyszenia mu w przejażdżce popołudniu.

Zaczyna się obiad. Słyszę jak kilkakrotnie Charlix dziwi się opóźnieniu Prospera Delorme. Hrabina odpowiada, że przyszłe pewno tele-

gram, wyjaśniający spóźnienie swoje, albo że przybędzie w czasie obiadu.

Wchodzi chłopczyk ze stacji, z pliką świeżych gazet, które sprzedaje gościom. Przechodzi najprzód koło mnie. Biorę od niego mały świstek miejscowy, redagowany po włosku i po niemiecku. Rozwijam go. Czytam depezę z Cortine d' Ampezzo, opisującą wypadek samochodowy Delorme'a i jego śmierć:

Chłopak zbliża się do stołu o sześciu nakryciach!

Charlix bierze gazetkę. Przegląda ją, wydaje okrzyk i podaje żonie. Ta czyta i mówi poprostu: „Mój Boże! Ależ to strasznel!” I oddaje mężowi dziennik, nieprzeniknioną twarzą swoją odpowiadając na jego spojrzenia. W spojrzeniu tem wyczytałem cały świat podejrzeń, nagle obalonych. Mimowolny ruch szerokiej dłoni zazdrośnika w stronę młodszej dziewczynki, objaśnił mi, do jakich granic doszły jego podejrzania. Prosper Delorme na łożu śmierci nie tylko

myślał o ocaleniu honoru ukochanej kobiety. Chciał także obronić przyszłość dziecka, którego był ojcem, przed zemstą tamtego. Udało mu się dopiąć celu.

Byłem świadkiem w życiu mojem kilku scen straszliwych: żadna mi nie pozostawiła tak przejmującego wspomnienia jak ta, która rozegrała się przedemną, bez jednego słowa, w tej banalnej sali hotelu, do którego nigdy nie wrócę.

Koniec

tłumaczyła M. D

28)

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE”

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824—1826)

IX.

Odkąd pani Teresa dowiedziała się, że więźniowie w Spielbergu cierpią głód, nie mogła jeść. Zmuszała się, pragnęła być silną, cóż, kiedy każdy kęs dławił ją w gardle!

Bolesne kurcze wątroby, gorączka nie pozwalają jej „dwóch myśli skleić“, tak bardzo czuje się osłabioną.

Radzą jej wody karlsbadzkie. „Za daleka to podróż jeśli nie mogę połączyć z nią celu, dla którego poszłabym i na koniec świata!

„Cóż pomoże leczyć się, gdy niema cienia nadziei, aby został usunięty najistotniejszy powód mojego nędznego stanu fizycznego, rozdzierająca myśl o ciężkim losie istoty, która jest dla mnie wszystkim!

„Serce mi się krwawi, gdyż niczego dobrego donieść ci nie mogę, moja najmilsza i najlepsza przyjaciółko — pisze do Pauliny Andryane — Ksieni (gubernator Moraw) jest tak surowa, że dotąd nie udało mi się nawiązać korespondencji z dziećmi. Kardynał poddaje je tej strasznej próbie, aby stwierdzić stałość ich powołania“.

W lecie r. 1826 Teresa czuje się fak chorą, że robi testament. Zapisuje cały majątek bratu Kamilowi, licząc na jego „honor, delikatność i przywiązanie“, że odda go w swoim czasie jej mężowi. „Kiedy ja umrę—pisze—ty musisz mię zastąpić i nie szczędzić zabiegów, starań i kosztów, choćby najwyższych, aby uzyskać uwolnienie albo ucieczkę, albo przynajmniej ulżenie jego losowi.“

Na razie jest majątku tego najtroskliwszą zawiadowczynią. Sobie odmawia wszystkiego, ale otwartą ma rękę i serce dla wszelkiej niedoli. Opiekuje się najbardziej rodzinami

osób, które ucierpiały z powodu procesu jej męża, a tych było bardzo wiele. Talvotti poaresztował mnóstwo ludzi, mających jakiegokolwiek stosunki z Confalonierim i przetrzymał dwa lata, nie podając nawet powodu uwięzienia. Bedota medjolańska ubóstwa hrabinę, jak anioła opiekuńczego, ale sfery arystokratyczne coraz oportunistyczniej nastrojone, rozbawione, stronią od surowej żaloby, której sam widok jest dla nich wyrzutem.

Wygnańcowi poecie jawi się z oddali ta w czerń spowita postać wiernej i smutnej kobiety, jak uosobienie smutku całej Italji:

Jakież to snują się mary!
Jakaż niewiasta tam wzdycha!
Żalobna—powtarza z cicha.
Ojczyzna... Spielberg... Ofiary...

Bogu jednemu się skarży;
Któż pojmie głębi jej boleści?
Tchórz tej straszliwej powieści
Nawet się słuchać nie waży.

(Giovanni Berchet Fantasmii).

Są jednak przyjaciele, którzy potrafią odszukać chorą w jej wiejskiej samotni. Jabłonowscy, dawnej zażyłości pamiętni, odwiedzili ją w willi nad jeziorem Como. Księżna Karolina szukała ulgi dla swego wątłego zdrowia i smutnej duszy pod miłym jej zawsze włoskiem niebem w towarzystwie matki i siostry. Dotkliwym bólem przejmowało ją wspomnienie przyjaciela, od którego dzieliła ją teraz przygoda „jak śmierć nieprzeżyta, cette barrière in surmontable, qui ressemble à la mort“, ale biedna jego żona była dla tych trzech Polek „przedmiotem czci i miłości“. Dobra Zosia Woynianka wyteęzała myśli: „Czemby zrobić Teresie przyjemność? Jak jej dowieść swego współczucia“

Wdowa po zmarłym nagle i przedwcześnie Eugenjuszu Beauharnais przysłała swojej dawnej damie dworu medalion księcia wraz z serdecznymi słowy. Teresa dziękuje wzruszona. „Ogrom nieszczęścia, które na mnie spadło, pozwala mi zrozumieć w całej pełni nieszczęście drugich“.

Jakże dalekie, jakże błahe wydają się dawne nieporozumienia i niechęci!

Żona przestępcy podlega ciągłej obserwacji szpiegów. Ale nawet konfident policji, składając raport o pobycie hrabiny w Wenecji w r. 1827, nie może powiedzieć nic innego nad krótkie słowa:

„...Jest dobra. Służba ją ubóstwia. Wczoraj z rana wysłuchała dwóch mszy w kościele św. Marka i gorąco się modliła“.

Prosiła zapewne Boga, aby hr. Inzaghi, do którego udawała się, słysząc, że został mianowany gubernatorem Moraw, okazał się względniejszym na jej błagania od głuchego i niemego Mitrowskiego.

Inzaghi przyrzekł, że uczyni dla jej męża, co będzie w jego mocy — i nie zrobił nic, a tylko, zwiedzając Spielberg, oświadczył Confalonieremu pozdrowienia od żony; były to od trzech lat pierwsze wiadomości o rodzinie, które więzień otrzymał, choć cesarz obiecał udzielać ich co trzy miesiące.

Monarcha dotrzymał za to drugiej obietnicy — udzielenia pociechy religijnej — i posłał do Spielbergu spowiednika.

Nie zaraz. Dopiero, kiedy sądził, że ciała i dusze penitentów są już dostatecznie zmaltretowane, zgęsbione i skruszone pokutniczymi praktykami.

Nielatwo przyszło cesarzowi znaleźć osobistość, nadającą się do tak delikatnej misji. Wybór padł na księdza Stefana Paulowicza, dzięki smutnej sławie, jaką zyskał już sobie, zdolawszy, przy konfesjonale, wycisnąć zeznania z kilku biednych karbonarjuszy.

Dalmatyńczyk, syn rodziny wieśniaczej, nie odznaczał się głębszą inteligencją, ale Franciszkowi podobał się za ślepe oddanie Najwyższej Władzy, z jowialnego humoru i pewnego chłopskiego rozumu. Do rekolekcji Spielbergskich przygotował się należycie, sprowadzono mu nawet z Mediolanu akta procesu, aby mógł dokładnie przestudjować psychologię każdego ze swych przyszłych słuchaczy.

Instrukcja, którą Paulowicz otrzymał od Najwyższej Rady Aulicznej, zredagowana w makaronicznej łacinie polecała mu przeczornie, aby przy spowiadaniu przestępców politycznych miał przy sobie ołówek i notował nazwiska, które mają być niezwłocznie komunikowane cesarzowi.

Tłusty, czerwony, rubaszny ksiądz nie zdawał się zbyt szczęśliwie dobrany dla prelegowania chrześcijańskiej rezygnacji swoim zagłodzonym owieczkom, jednakże Spielbergczycy powitali go z radością.

Przywykli widzieć w księżach, którzy ich dotąd odwiedzali, w dobrych kapucynach z Berna, prawdziwie ewangelicznych pocieszycieli — smucili się, gdy po przybyciu Mediolanczyków nie puszczano już księży do fortecy.

Paulowicz rozpoczął swoją misję od przeczytania więzniom stanu bulli papieża Jana XII (Quod graviora malum, z r. 1826), rzucającej ekskomunikę na wszystkich, należących do tajnych towarzystw.

Następnie rozpoczął z wolna wplatać do pogadanek treści religijnej — pytania polityczne.

Przy rozmowie z Confalonierem, nie umiał pohamować swojej niecierpliwości i zagadnął go odrazu prawie — o jego współników.

Ścieżka zastawiona była zbyt niezręcznie. Hrabia oświadczył grzecznie i chłodno, że uważając mieszanie religii do celów inkwizycji politycznej za profanację, wstrzyma się w więzieniu od wszelkich praktyk religijnych.

„Jestem chrześcijaninem i chcę nim pozostać, ale jeżeli hypokryta, obłudnik i nikczemnik żąda odemnie skruchy, wyparcia się przekonań, zdrady, to póki umysł i serce Bóg zachować mi raczy, nie doczekają się tego odemnie!” — pisał później do żony.

Tragedja była w tem, że biedni Włosi byli to po większej części, ludzie religijni, a znajdowali się wśród nich dusze poprostu święte, jak Silvio Pellico, dusze entuzjastycznie wierzące, dla których „największym bólem, doznany w Spielbergu „by-

ło słuchanie Słowa Bożego z ust tak splamionych“.

Paulowicz nie dowiedział się żadnych tajemnic. Confalonieri ostrzeżli przed nim swoich rodaków, a więźniowie, wydoskonaleni w sztuce tajnego porozumiewania się, ulegali bezwzględnie autorytetowi dawnego przywódcy. Jednakże udało się indagatorowi zasiać nieufność między towarzyszami niedoli. Zaczęli podejrzyczyć, do dziś niewiadomo czy słusznie, niektórych z pomiędzy siebie, o donosicielstwo.

(c. d. n.).

K. Bielańska

Z POWODU OSTATNICH PRZEKŁADÓW J. CONRADA

Joseph Conrad (Korzeniowski). (Sześć powieści (The set of siree). Wyd. „Ignis”. Warszawa 1924, tłóm. Wilam Horzyca, Leon Piwiński i Tadeusz Pułjanowski.

Joseph Conrad (Korzeniowski). Między lądem a morzem. Nowele. Wyd. „Ignis” Warszawa 1924. Tłóm. J. Lemański, J. B. Rychliński i A. Zagórska.

Ukazały się więc jedenasty i trzytnasty tom pism Conrada w polskim tłumaczeniu.

Oryginałów nie mam w ręku, nie mogę więc pisać o wartości tłumaczenia. Książki Conrada są tak bardzo wiele warte, że można będzie powrócić do krytycznego rozbioru tłumaczenia przy innej okazji.

Narazie dobrze jest zasygnalizować ukazanie się tych dwóch tomów nowel

Zwłaszcza, że nazwiska tłumaczy mówią dużo i dobrze. Świetne pióro J. Lemańskiego, iście kobieca, posunięta aż do egzaltacji sumienność A. Zagórskiej, wielkie poczucie odpowiedzialności, jakim odznacza się zawsze, niezwykłe nadto głęboki znawca Conrada, Wilam Horzyca, zdają się poręczać, że tłumaczenia stoją na wysokości oryginału.

Pozostali tłumacze: Rychliński, poprawny tłumacz Londona (obok S. Kuszelewskiej), krytyk Piwiński i Pułjanowski stoją, jak przypuszczam, również na poziomie solidności. Czyta się ich naogół bez tego napół świadomego uczucia, że tu lub owdzie tłumacz chybił, że autor chciał inaczej, lub co innego powiedzieć.

Zaś na poziomie doskonałej polszczyzny stoją te przekłady wszystkie. Również zewnętrzny wygląd książek cechuje staranność, wytworność, właściwa firmie „Ignis”.

Same nowele mają wszystkie cechy geniuszu Conrada, acz nie skupione w takim natężeniu, jak się to spotyka w niektórych powieściach tego pisarza. Są tam rzeczy nieco słabsze, jak „Il conte” albo „Po-

jedynek” — i takie arcydzieła, takie odkrywcze spojrzenia w życie, jak „Bestja”, „Szpieg” — lub najkapielniejsza ze wszystkich nowel: „Ukryty sojusznik”, będący jakby odmianą „Murzyna z załogi Narcyza”. Będący nowelą o rzeczach zawadających, a namiętnie ukochanych i potrzebnych, którymi nieopstrzeżenie dla innych wypełnia się nasze życie.

Jeśli wydaje mi się czasami, że w gruncie rzeczy liryzm tylko jest sztuką, — to u Conrada liryzm wynurza się ze wspaniałego eposu opowiadania, jak wynurza się on czasem z najzwyczajniejszych niepoetycznych spraw życia. Bez premedytacji, bez żadnego uwidocznienia drogi, którą Conrad do tego dochodzi, — a jednak z nieubłaganą konsekwencją — przychodzi on podobnie jak bywa w życiu, gdy ani przypuszczamy, w którym miejscu wśród szparko toczących się interesów i przygód zaskoczy nas nagle obezwładniające wzruszenie, entuzjizm nieprzytomny, lub surowa rozpacz cierpienia i walki.

Utwory Conrada tak w tych nowelach, jak zawsze stoją na najwyższej granicy tego, co jest sztuką.

Nawet słabsze rzeczy, gdy pobudzimy siebie samych do współtwórczości z Conradem — dzieją się zawsze aż w tem tajemniczym miejscu, gdzie życie staje się wzruszeniem artystycznym, a dzieło sztuki staje się żywiołowym zjawiskiem natury.

Doskonałość budowy utworów Conrada nie jest konwencjonalna. To nie doskonałość, to raczej konieczność.

Forma ta i budowa rodzi się, rośnie i wikła samo życie.

To, co jest ambicją bardzo zdolnych dzisiejszych pisarzy, żeby nie narzucać czytelnikowi swojego stanowiska, żeby nie dawać liryzmu siebie, lecz liryzm rzeczy — szlachetne dążenie, które ich utwory czyni niemal nieraz oschłymi u Conrada realizuje się tak lekko, gorąco — samo przez się.

Mimo, że dzieło Conrada jest przeniknięte jego własnymi — ach jak własnymi — czasem — zagadnieniami etycznymi. Mimo, że tylokrotnie rzeczy te są opowiadane w pierwszej osobie. Mimo, że wiemy, iż ostatecznie Conrad mówi nam tylko to, co jego w życiu spotkało — i że, co więcej, ten właśnie fakt jest tajemnicą jego czasu — otóż mimo to wszystko — osoba autora nie narzuca się czytelnikowi w jego pismach nigdzie a nigdzie. Zupełne nieistnienie tej — rzekłabym — chętności artystycznej, cechującej nieraz dzieła wielkich pisarzy — cechującej całe epoki artystyczne. Przez serce i przez pióro Conrada przetoczyło się aż do nas samo prawdziwe, pozazjawiskowe, emocjonalne oblicze świata i blask tego zjawiska uczynił nieomal znikomą i niewidoczną tę dramatyczną postać, która się nazywała Józef Konrad Korzeniowski.

I jeśli utwory Conrada wydają się czasem niezrozumiałe psychologicznie, jak np. owo opowiadanie „Uśmiech szczęścia” w którym tkwi rzeczywiście coś problematycznego, to są one niezrozumiałe i problematyczne w taki jakiś sposób, jak bywają niekiedy wypadki życia. Odczuwamy ich siłę dobrą, czy złą w sposób niezbitą, lecz nie umiemy ich uzasadnić, a nawet wydają nam się o tyle głupie i nieznośne, o ile są nieuniknione.

Może to prawda, że aby dojść do tej drapieżnej, artystycznej wiedzy, jaka cechuje Conrada — trze-

ba było na to, — transponując jego własne powiedzenie — uniknąć niebezpieczeństwa życia szczęściem, które nam wystarcza. Może na to, aby tak pisać, trzeba było świat naokoło objechać, spoufalić się z ludźmi wszystkich ras, stwardnieć na wiatrach wszystkich oceanów. Tego nie wiem!

Lecz wiem, że cokolwiek spowodowało tak wysoki wybuch tego talentu — wybuch ten obdarzył nas dziełem, które każdy musi odczuwać, jako nad wszelką miarę potrzebne.

Dziełem, jak uczciwy dokument pod pieczęcią nieposzlakowanej szcze-

rości, zawierającym szczegółowy, sumienny opis znacznej ilości tajemnego skarbu tych wielkich, a tak nam wciąż mało znanych dóbr, które nazywamy życiem.

I jeśli Józef Conrad wstąpił w swe niełatwe jednak losy, obarczony pierwotnym grzechem porzuconej w młodym wieku nieszczęśliwej Ojczyzny — to wypłacił się światu za ten grzech, twórczością w swej skali tak samo wartościową, jak dzieło cywilizacji, którym wśród upadków i wzlotów ludzkość okupuje się Bogu za swój grzech pierworodony. M. D.

Biuro Informacyjno-prasowe dla spraw kobiecych

Rozumiejąc wzrastającą coraz bardziej doniosłość roli kobiety w naszym życiu społecznym i państwowym, a zarazem niedostateczność środków i sił, jakimi świat kobiecy u nas rozporządza, Tow. Wydawnicze „Bluszcz” przystępuje do uruchomienia Biura **Informacyjno-prasowego dla spraw kobiecych**.

Zadaniem Biura będzie z jednej strony: gromadzenie materiału informacyjnego o życiu, działalności, pracy zawodowej i wszelkich sprawach, dotyczących kobiety, u nas i zagranicą — z drugiej: udzielanie tychże informacji zainteresowanym instytucjom krajowym i zagranicznym, organom prasy lub poszczególnym jednostkom. Materiał ten służyć może również do opracowywania poszczególnych kwestji, życia kobiecego dotyczących, które to opracowania, bądź umieszczane na łamach „Bluszczu”, bądź w formie osobnych wydawnictw książkowych, przyczynią się niewątpliwie w znacznej mierze do posunięcia naprzód i rozjaśnienia najważniejszych zagadnień życia kobiecego.

Wymiana informacji powyższych nie pozbawiona będzie również praktycznych wartości, ułatwiając powstającemu przy Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Biuru Pośrednictwa Pracy Kobiet pełnienie właściwych jego zadań.

Utrzymując kontakt między polskim światem kobiecym, a zagranicą, Biuro **Informacyjno-prasowe** wpłynie w pewnym stopniu na istotne **zbliżenie Polski do ognisk cywilizacji i związanie jej z ogólnymi prądami myśli**.

Sądzimy, że świat kobiecy polski oceni właściwie wartość nowopowstającej placówki i usiłowania nasze poprze, przede wszystkim nadsyłaniem ze wszystkich zakątków Państwa krótkich, a dokładnych i ścisłych informacji:

- 1) o **pracach naukowych, twórczości literackiej i artystycznej kobiet**,
- 2) o **pracy społecznej kobiet**: związkach, stowarzyszeniach, kołach oświatowych, kołach samokształcenia, klubach, kołach śpiewaczych, teatrach amatorskich, towarzystwach antyalkoholicznych i t. p.
- 3) o **instytucjach opieki nad matką i dzieckiem**: „Kroplach Mleka”, poradniach dla matek, żłobkach i t. d.
- 4) o **pracy zawodowej kobiet** (fabryki, sklepy, biura, szkoły, szpitale, praca na roli, rzemiosła i t. d.).
- 5) o **wysokości uposażeń kobiecych**, utrudnieniach w dostępie do wyższych stanowisk, redukcjach sił kobiecych, bezrobociach i t. d.
- 6) o **ruchu emigracyjnym, więziennictwie kobiecym, prostytucji, handlu kobietami i dziećmi i t. p.**

Pożądanę w każdym wypadku dokładne dane cyfrowe i ściśle sprawdzone nazwiska.

Korespondencje, ujęte w formę literacką i umieszczone w „Bluszczu” honorowane będą wedle norm, przyjętych przez wydawnictwo.

Korespondentki, przysyłające surowy materiał informacyjny, korzystają tylko z prawa bezpłatnej prenumeraty „Bluszczu” o ile nadsyłać będą stale przynajmniej jedną korespondencję w ciągu miesiąca.

Korespondencje winny być możliwie najdokładniejszym i najwierniejszym obrazem rzeczywistości, którą ujmować winny w formę zwięzłych skrótów.

Biuro **Informacyjno-prasowe** zastrzega sobie oczywiście **swobodny dobór korespondentek i prawo korzystania lub niekorzystania z nadesłanych wiadomości**.

Sekretariat Biura w lokalu „BLUSZCZU” Warszawa, Krak.-Przedm. 2.

ŻYCIE I PRACA KOBIECY POLSKIEJ

DAR NARODOWY DLA MARJI SKŁODOWSKIEJ-CURIE.

Komitet Daru Narodowego dla Marji Skłodowskiej-Curie wydał odezwę, zaczynającą się od słów: „Od czasu Kopernika nikt nie przysporzył Polsce na polu nauki większej chwały, jak Marja Skłodowska-Curie.“

Zebrane składki posłużyć mają na założenie w Warszawie instytutu radowego imienia wielkiej uczoney. Jak wiadomo, rad jest jedynym, znany dziś środkiem, niszczącym niebezpieczną dla życia ludzkiego tkankę rakowatą. W Paryżu i w innych wielkich miastach Europy i Ameryki istnieją instytuty radowe, niosące pomoc cierpiącym Polska dotąd zakładu takiego nie posiada.

Komitet wzywa gorąco wszystkich, a zwłaszcza kobiety, nie tylko do składkowania, ale i do tworzenia w większych ośrodkach prowincjonalnych podkomitetów, które zajęłyby się energicznie gromadzeniem funduszy na ten wielki cel.

Ofiary składać można nie tylko w pieniądzu, lecz i w materiałach budowlanych i technicznych. Uniwersytet warszawski pierwszy pośpieszył z ofiarą, w postaci placu pod instytut, w obrębie swych nowych klinik.

Sumy, wynoszące 1000 zł., stanowią „cegiełki.“ Nazwiska składających powyższą sumę, wyrze będą na ścianach gmachu. Osoby, składające 5000 zł., otrzymają dyplomy „fundatorów“ instytutu. Nazwiska ich będą umieszczone na honorowej tablicy w przedsionku.

Biuro Komitetu wykonawczego Daru Narodowego urządza w Warszawie, Nowy Świat 21.

Oprócz Biura głównego przyjmują ofiary: P. K. O. na № 9535, Bank dla handlu i przemysłu (Traugutta 8) oraz wszystkie jego filje na rachunek Daru Narodowego dla Marji Skłodowskiej-Curie. Ofiary przysyłać można także redakcjom pism.

Na dzień ogólnej zbiórki wybrany jest w Warszawie 10 grudnia, na prowincji 14 grudnia.

Kobiety polskie niewątpliwie nie odwrócą się od tej pracy dla przyszłości.

PRAWA IMIGRACYJNE ŻON I NARZECZONYCH OBYWATELI ST. ZJEDNOCZONYCH.

Cudzoziemki, żony obywateli St. Zjednoczonych, tamże zamieszkujących, w chwili wniesienia podania, mają prawo wstępu do St. Zjednoczonych, poza kwotą,

pod warunkiem jednak, że podanie męża obywatela zostało uwzględnione i że konsul amerykański został upoważniony do wydania wizy.

Przywilej ten nie przysługuje żonom obywateli St. Zjednoczonych, nie mieszkających w danej chwili w Stanach. Żona takiego obywatela uważana jest za zwykłą imigrantkę, zaliczoną do kwoty. Ma jednak prawo do pierwszeństwa przy udzielaniu wiz emigracyjnych.

Narzeczone żadnych przywilejów nie posiadają.

Obywatel St. Zjednoczonych powinien udać się do kraju swej narzeczonej i tam ożenić się z nią. Po zaślubieniu narzeczonej podanie jego o wydanie wolnego wstępu do Stanów Zjednoczonych jest ważne bez względu na to, czy mąż wówczas znajduje się w Ameryce, czy poza jej granicami. Przed wyjazdem jednak, w celu zawarcia małżeństwa, powinien wnieść podanie do Biura imigracyjnego w Waszyngtonie, zaopatrzyć je zeznaniem, że zamierza ożenić się ze swą narzeczoną, oraz podpisami dwóch świadków, którzy znają go od szeregu lat i mogą pod przysięgą stwierdzić fakt, iż jest obywatelem amerykańskim.

Po ślubie żona jego musi się stawić osobiście w konsulacie amerykańskim, a po przedstawieniu odpowiednich dowodów małżeństwa, może otrzymać (zależnie od uznania Konsula) wizę imigracyjną, poza kwotą.

SŁUSZNY ZAKAZ.

Jak dowiadujemy się, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zabroniło wydawania pasportów zagranicznych nieletnim dziewczętom, udającym się do Francji. Zakaz ten jest następstwem smutnych nad wyraz wydarzeń, którym uległa znaczna ilość emigrantek polskich we Francji. Wpadłszy w ręce nikczemnych agentów, zostały one podstępnie zamknięte w domach publicznych. Zakaz powyższy nie stosuje się do dziewcząt, wyjeżdżających w towarzystwie swych rodzin.

KIEROWNICZKA WIĘZIENNYCH WARSZTATÓW TKACKICH.

Na wileńskiej wystawie sztuki i rzemiosł, zwracały uwagę powszechną piękne i solidnie wykonane kilimy, obrusy, ręczniki lniane i bawełniane, poduszki, ozdobione haftem Richelieu, chodniki i t. p. Były to wszystkie roboty, pochodzące z więzienia na Łukiszczkach.

Kierowniczką warsztatów tkackich jest tam p. Marja Zgirska - Bobrykowa.

Roboty tkackie zapoczątkowane zostały na Łukiszczkach w roku 1922. Z początku pracowano na jednym, wypożyczonym warsztacie. Obecnie

pracownia więzienna posiada już 12 warsztatów tkackich i 40 kołowrotek. Poza swą pedagogiczną rolę względem więźniów, jest ona także przedsiębiorstwem dochodowym. Na wystawie w Wilnie otrzymała za swoje wyroby wielki srebrny medal. Pani Zgórska jest absolwentką szkoły p. Mohlówny w Wilnie. Od początku kieruje pracownią; większość kilimów wykonana została podług jej wzorów.

„UCZCIWE PISMO DLA UCZCIWYCH LUDZI.“

Tak brzmi podtytuł „Ogniska“, tygodnika społeczno-literackiego, wychodzącego w Paryżu pod redakcją zasłużonej weteranki ruchu kobiecego, p. Marji Szeligi.

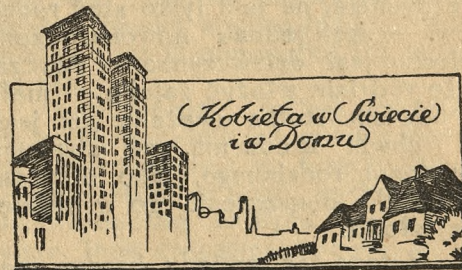
Pismo, doskonale redagowane, żywe, zajmujące, przeznaczone jest dla licznej już dziś emigracji polskiej we Francji i utrzymuje żywy kontakt z ogniskami naszego wychodźstwa.

NA SZPALTACH CZASOPISM.

W „Kurjerze Polskim“ powstała specjalna rubryka niedzielna p. n. „Świat Kobiecy.“

„Świata Kobiecego“ redaktorką jest p. M. H. Szpyrkówna.

W „Pracy Szkolnej“ H. Radlińska zdaje sprawę z międzynarodowego Kongresu nauczycieli szkół średnich, który w miesiącach letnich odbył się w Warszawie.



WYBORY DO PARLAMENTU W ANGLI.

Nowe wybory do parlamentu angielskiego przyniosły porażkę obywateli kobiecemu, zamiast bowiem dotychczasowych ośmiu posłanek, wyszło ich z urny wyborczej tylko trzy: Lady Astor, księżna Atholl i Miss Ellen Wilkinson. Ta ostatnia jest nowym członkiem parlamentu, i reprezentuje najbardziej lewicowe skrzydło Labour Party.

Pisma kobiece angielskie, omawiając obecną sytuację, wyrażają głęboki żal z powodu utraty przedewszystkiem dwóch tak wybitnych członków parlamentu, jak pani Wintringham i panny Bondfield (Ta ostatnia była jak wiadomo, również członkiem ostatniego rządu).

Te same pisma podnoszą również niezmiernie czynny udział kobiet angielskich w głosowaniu wyborczym. Ogólnie biorąc, liczba głosów kobiecych przewyższa stale przy wszystkich wyborach do parlamentu liczbę głosów męskich, różnica ta jednak stale się zwiększa. W roku 1918 wynosiła 3,462 głosy, w 1922 — 6,943, w 1923—8,345, przy obecnym zaś głosowaniu wynosi 9,750. (Cyfry te, opierające się na statystyce urzędowej, zaczerpnięte są z „The Woman's Leader“). Liczny udział kobiet ze wszystkich klas społeczeństwa w głosowaniu wyborczym świadczy o wielkiem uświadomieniu obywatelskiem wśród Angielek. W dniu wyborów tłumy kobiet cisnęły się do urn wyborczych; wiele matek ze sfer najuboższych przyprowadzało drobne dzieci, których nie były w stanie pozostawić w domu bez opieki. Małeństwa te pozostawione były w oddzielnych salach pod opieką policjantów, czuwających nad tem, aby najmłodszym obywatelom Anglii nie stało się nic złego.

LOS DZIEWCZĄT W INDJACH.

Misjonarze katolicki, pracujący nad szerzeniem wiary wśród ludności Indyj, podkreślają niejednokrotnie smutne położenie kobiety hinduskiej. Oto co pisze jeden z OO. Misjonarzy do pisma kobiecego „The Catholic Citizen“:

„Gdy w rodzinie Hindusów przychodzi na świat chłopiec, zapanowuje radość ogromna, setki, a nawet tysiące rupij wydawane są na ucztę dziękczynną, urządzoną z największym przepychem, na jaki tylko stać rodziców. — Jeśli jednak nowonarodzone dziecko jest dziewczynką — zwyczaj każe rodzinie włożyć żalobę — mała ta bowiem istotka uważana już jest, od chwili urodzenia, ze straconą dla domu rodzinnego, jako przeznaczona do opuszczenia go w bliskiej przyszłości.

Z tego też względu bardzo mało uwagi zwracają rodzice na jego wychowanie i wykształcenie. Traktowana surowo przez ojca, najczęściej również zaniedbywana przez matkę, koncentrującą swe uczucia przeważnie na synach jako na prawdziwej „podporze“ domu — mała Hinduska rośnie na uboczu, nie znając ciepła rodzinnego uczucia. Wiele pośród tych biednych dziewcząt zwłaszcza w rodzinach mniej zamożnych umiera z braku należytego dozoru i opieki rodzicielskiej. Jeśli jednak Bóg pozwoli jej przetrwać ciężki okres dzieciństwa, życie jej dalsze bywa również często bardzo smutnem.

Wychowanie córki i syna w rodzinach hinduskich różni się znacznie. Od najwcześniejszego wieku różnice te są zaznaczane w sposób bardzo przykry i upokarzający dla dziewczynki która otrzymuje gorsze i bardziej skąpe pożywienie, lżejsze ubranie, nie

zabezpieczające jej należycie przed chłodem i t. d. Często nawet różnica w traktowaniu dzieci posuwana bywa tak daleko, że córkom odmawia się przywileju, z którego korzystają wszyscy członkowie rodziny płci męskiej, mianowicie — kąpeli, ograniczając prawo jej użycia jedynie do kilku dni, wyznaczonych przez głowę rodziny, w które to dni znów żaden z mężczyzn nie wchodzi do kąpeli, nie chcąc się zanieczyścić dotknięciem naczyń, używanych przez kobiety.

Przyczyny tych upokarzających dla kobiety zwyczajów szukać należy przede wszystkim w obrzędach i tradycjach religii Hindusów, wyrażających pewną pogardę dla rodzaju żeńskiego. Przytoczę tu kilka tylko takich przykładów, które mógłbym pomnożyć w nieskończoność:

Ogólnie przyjętą formułą życzeń, jakie należy składać nowożeńcom, jest: „Niech bogowie obdarzą was synem“. Syn bowiem — według wierzeń ludowych — uwalnia swego ojca od wszelkich długów w tym życiu, jak i w przyszłym.

Święto Lohri'ego, obchodzone uroczysto co roku w Indjach, opiewa w hymnach radosnych narodziny syna, jednak w żadnych uroczystościach ludowych niema wzmianki o narodzinach córki jako o fakcie godnym zanotowania.

W większości ksiąg religijnych Hindusów znaleźć można opisy modłów, zanoszonych do bogów przez rodziców o uproszenie potomka — zawsze jednak chodzi im o potomka płci „męskiej“.

PRAKTYCZNY POMYSŁ.

Rodzice, nie mogący sobie pozwolić ze względów finansownych na trzymanie nianki lub bony do dziecka, są aż nazbyt często w kłopotcie, co zrobić ze swem maleństwem i podczyją je pozostawić opieką, aby móc swobodnie spędzić wieczór poza domem. Ileż to młodych matek musi sobie nieraz odmawiać przyjemności pójścia do teatru tylko z tego względu, że nie ma kto się zająć przez ten czas ich dzieckiem.

Praktyczni Amerykanie znaleźli już i na to radę. Jak donosi pismo paryskie „Eve“, istnieją już w bardzo wielu teatrach amerykańskich t. zw. „szatnie dzieciinne“, w których rodzice przed wejściem na salę pozostawiają swe maleństwa pod opieką wybranej „nurse“ (pielęgniarki). Po zakończeniu przedstawienia tatuś lub mamusia odbierają za numerkiem nie tylko swe okrycia i parasole, lecz i swoją rozbawioną, względnie uspiooną (zależnie od pory dnia) pociechę, która również jak i oni, mile spędziła tych parę godzin w nowem otoczeniu.

Jedną z modnych miejscowości kąpielowych kalifornijskich wprowadziła jeszcze inną innowację mianowicie koszyki (rodzaj klatki z wikliny), ustawione na plaży, w miejscu zacisznym,

w miarę słonecznym i w miarę zacienionem. W koszyku takim rodzice mogą za niewielką opłatą ulokować wygodnie swego bobusia, który bawi się zabawkami i jest zupełnie zadowolony z siebie i ze świata, podczas gdy tatuś i mamusia używają z przyjemnością morskiej kąpeli, nie dręczeni niepokojem o los swego maleństwa.

Z. B.

W Y C H O W A N I E FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIEC

GYMNASTYKA MAŁYCH DZIECI.

Każda matka, szczególnie jeśli nie ma możności posyłać dziecka do szkoły froeblovskiej, powinna i może zająć się gimnastyką swego dziecka.

Prowadzenie takiej gimnastyki nie przedstawia większych trudności, często mam wrażenie, że wielu z pań, które same się nie gimnastykowały nigdy, brak poprostu pomysłów, nie wiedzą, od czego zacząć, nie wiedzą, że osobie inteligentnej wystarczyłoby parę wskazówek z dobrego podręcznika i dlatego zaniedbują tę tak ważną dziedzinę wychowania dziecka. Nauczycielki domowe często też nie mają pojęcia o tych rzeczach, a co gorzej, nikt ich nawet nie pyta — czy mają jakie kwalifikacje w tym kierunku.

Chcąc zachęcić Czytelniczki, by zajęły się same gimnastyką swoich dzieci i ułatwić im próby prowadzenia lekcji, pragnę pomówić dziś o gimnastyce dzieci małych do lat mniej więcej dziesięciu, a więc tych, których wychowaniem zajmuje się głównie matka sama, a dla których fizyczne wychowanie ma bezsprzecznie największe znaczenie.

Patrząc na dziecko w tym wieku, pamiętam zawsze, że czeka je szkoła średnia, sześciogodzinne codzienne siedzenie, i myślę, że nie byłoby tyle narzekań na ujemny wpływ szkoły na zdrowie dziecka, gdyby szły do niej tylko dzieci należycie rozwinięte, o których wychowanie fizyczne racjonalnie dbano od początku, zdrowe, dobrze zbudowane. W mieście zapewnić to może tylko gimnastyka.

Na wsi, gdzie dzieci mają tyle sposobności do ruchu, może wystarczyć zupełnie gimnastyka naturalna, o ile dziecku wolno jej używać, o ile przez wzgląd na czystość i czystość sukienek nie uniemożliwia mu się kładzenia się i siadania na ziemi, wspinania po drzewach, fikania koziołków po trawie, upadków możliwych przy bieganiu i skokach i t. p.

Dzieciom miejskim, a także takim, które za mało mają życia, za mało pomysłowości, by ruszać się dużo i wszechstronnie, trzeba dawać systematyczne, planowo obmyślane lekcje.

Lekcje te muszą być krótsze niż dla starszych, maximum pół godziny, za to powinny się odbywać codziennie, najlepiej rano w jakie dwie godziny po pierwszym śniadaniu dziecka.

Trudnością główną, jaką sprawia gimnastyka małych dzieci, jest konieczność utrzymania ich w porządku pewnym i karności, a zrobienie mimo to lekcji wesołą i ożywioną.

Gimnastyka, prowadzona surowo, monotonna, bez radości i śmiechu, a co za tem idzie bez gwaru a nawet hałasu, jest dla dziecka nieznośnym przymusem, czasem wprost męczarnią, zabijającą raz na zawsze zamiłowania do ćwiczeń fizycznych.

A więc jak najwięcej swobody, życia i humoru. a jednak nie można pozwolić dziecku broić, o co bardzo łatwo, bo każde sprytniejsze i żywsze dziecko, widząc, czy robiąc jakieś ćwiczenie, zaczy a mimowoli fantazjować, zaczyna tworzyć, wymyśla samo różne dodatki, upiększenia, nowe ćwiczenia często bez sensu.

Czasem można doskonale wykorzystać tę okolicznościową twórczość, urozmaicając i utrudniając pierwotne ćwiczenia pomysłami dziecka, zrobi mu to dużą przyjemność i podniesie jego ambicję „sportową”, w większości jednak wypadków trzeba ukrócać takie objawy.

Chcąc przedstawić sobie, jak ma wyglądać takie racjonalne półgodziny ruchu, musimy przypomnieć sobie, co było powiedziane, w jednym z dawniejszych numerów o lekcji szwedzkiej.

Dla dzieci tamtego podziału na ćwiczenia wstępne, główne i łagodzące nie robimy. Dziecku ćwiczeń głównych (forsownych, doprowadzających do dużego wysiłku) nie dajemy wcale. Przez cały czas stopniujemy ćwiczenia lżejsze z bardziej męczącymi, przeplatając je często wycieczkami krótkimi i ćwiczeniami oddechowymi.

Przyczyną, że musimy tak postępować jest fakt, na który zwracałam uwagę, że organizm dziecka szybko bardzo się nuży, ale równie szybko po najmniejszym wypoczynku powraca znów do równowagi.

Aby lekcja była zupełna, wyczerpująca, musi składać się z tych samych elementów, co normalna lekcja Linga. Musi zatrudniać całe ciało po kolei, pamiętać o wszystkich grupach mięśniowych.

A więc przeplatać ćwiczenia mięśni:

- 1) głowy (szyi)
- 2) rąk
- 3) nóg
- 4) tułowia:
 - a) mięśni brzucha
 - b) „ pleców
 - c) „ boków.

W każdej lekcji być powinny: ćwiczenia prostujące, mające na celu wyrobienie dobrej postawy; chody, biegi, skoki, jako ćwiczenia nóg, a równocześnie znakomicie wpływające na działalność serca i płuc; rzuty i z wisy (tych ostatnich nie

ma często na czem wykonać w mieszkaniu), jako ćwiczenia rąk i równocześnie prostujące; ćwiczenia w równowadze, wpływające specjalnie na wzmocnienie systemu nerwowego, i ważne niesłychanie ćwiczenia oddechowe, o których znaczeniu kilkakrotnie już wspominałam.

Kto rozumie dokładnie znaczenie tych poszczególnych elementów lekcji, ten z łatwością może sobie sam ułożyć prostą lekcję dla dziecka i nie da nigdy ćwiczenia nieodpowiedniego.

Rozumiejąc znaczenie ćwiczeń prostujących, nie pozwoli przy innym ćwiczeniu przyjmować dziecku na dłuższą chwilę fałszywej postawy. Pamiętając o konieczności głębokich i silnych oddechów, nie zmusi dziecka do takiego wysiłku, przy którym musiałoby oddech tamować lub zadyszeć się. Nie popelni jednem słowem nic takiego, czego można się obawiać przy prowadzeniu gimnastyki przez laika.

Osobą, która wywołała ogromny przewrót w zapatrywaniach na gimnastykę dzieci była kobieta, nauczycielka instytutu sztokholmskiego, Ellen Falk.

Ona pierwsza widząc, jak często dzieci męczą i nuży gimnastyka, a wiedząc, że nie wystarczą im zabawy, często bezmyślne i nic nie mające wspólnego z ćwiczeniami fizycznymi, położyła ogromny nacisk na to, by dawać dzieciom gimnastykę, prawdziwą, racjonalną gimnastykę, ale tylko w formie zabawy.

Wchodząc w psychologię dziecka, wiedziała, że nie lubi ono ruchów, w swoim pojęciu bezcelowych, a że wskazywanie mu znaczenia leczniczego gimnastyki mogłoby raczej zniechęcić dziecko i odstraszyć, odjęła jej więc charakter, że tak powiem, szkolny, wszelki przymus i rygor, ubrała ją natomiast w cechy zabawy w taki sposób, że pod pretekstem zabawy przeprowadziła całą lekcję Linga w całym szeregu gier, obrazów i t. p., zatrudniając kolejno wszystkie grupy mięśniowe.

Takie prowadzenie gimnastyki dziecięcej przyjęły już za podstawę wszelkie nowsze systemy, czy to francuski rządowy projekt wychowania fizycznego, czy autorzy niemieccy.

Lekcja szwedzka podana jako zabawa, jako rozrywka, niema nic sztucznego, nic monotonnego, żadnej sztywności i nieruchomości.

Gdy się ma do dyspozycji więcej dzieci 10 — 20, można urządzać im gry, zabawy w całym tego słowa znaczeniu, to zawsze najbardziej lubią, gdy jednak ma się zaledwie kilkoro, a co już najgorzej jedno, nie mogąc nic zorganizować, trzeba jednak każde ćwiczenie ozdobić, dodając mu cel i określenie zabawkowe, czem zajmujemy fantazję dziecka i nie pozwalamy mu nudzić się.

A więc przysiad lub klęczka z siadem na stopach, to nie będzie zwykły przysiad, musimy powiedzieć

dziecku np.: idzie kot, myszki się chowają, robią się jak najmniejsze, nikt cichutko (pokazać jak), dziecko kurczy się, kuli z odpowiednią minką, prawie naprawdę już się boi. Kot odszedł, myszki z krzykiem zrywają się, skaczą i biegną, wznosząc łapki.

Ćwiczenie rąk. Unoszenie do kolan i opuszczanie rąk odbywa się na komendę „pokażcie jak lata ptaszek”. Inne ćwiczenie „jak ciągnąć wodę ze studni”, czy to korbą zataczając z pochyleniem się naprzód dużych kół rękami, czy to sznurem, przedstawiając ręce po niewidzialnej linii.

Ćwiczenia nóg. Naprzykład podskoki w przysiadzie z podporem rąk „pokażcie jak skacze żabka czy zając, jak chodzi rak” (tyłem na czworaku).

Podobnie przy ćwiczeniach równoważnych. Deska podłogi lub lepiej narysowana kredą linja — to most, naokoło szumi woda. „Ostrożnie przejdź przez tę kładkę, ani troszeczkę nie możesz zboczyć, bo wleczysz do wody”. Albo rysuję kilka kółek na podłodze, rozmaicie rozmieszczonych, to wystające ze strumyka kamienie, po nich masz przejść suchą nogą.

Ćwiczenie prostujące. — Dzieci mają się wyciągnąć jak najwyższej przy ścianie, czy drzwiach, które wyżej rękami sięgnie, najlepiej zaznaczyć kreską, dokąd kto dostał. Powstanie odrazu sportowa rywalizacja, miłsza dla dzieci i lepsza w skutkach, niż wykonanie suchej komendy „ręce w pion, wspięcie na palcach”.

Ćwiczenia tułowia. Dzieci pokazuja naprzykład, jak się wyciąga po śnie, albo jak kot jeży grzbiet z gniewu. Stają na czworaku, potem unoszą wysoko w górę biodra i przechodzą nogami pomalutku jak najbliższej rąk.

Lub mówię: „jestem cesarzem chińskim, pokażcie, jak mu się kłaniają?” Dzieci siadają po turecku i podniósłszy ręce do góry, pochylają się jak najmocniej naprzód: padają na twarz. Inne ćwiczenie tułowia, dziecko z pomocą drugiego dziecka, które je trzyma za nogi, robi taczkę, idzie w podporze rękami po ziemi.

Ćwiczenia oddechowe. Zapowiadamy dzieciom, że będziemy teraz nurkować; ciągnijcie więc jak najwięcej powietrza w płuca. Po odpowiednim ruchu rąk już wypływamy na powierzchnię, nurek mocno wydycha! Albo mamy gasić świecę, żeby silnie dmuchnąć wciągamy równie silnie powietrze.

Ćwiczeń takich, naśladowujących ruchy zwierząt, czy czynności starszych, można tworzyć bardzo dużo i dzieci same mogą je wymyślać, a mają zawsze duże powodzenie u dzieci.

Tu mogłam tylko na paru przykładach dać wyobrażenie, jak mniej więcej taka dziecinna lekcja gimnastyki wygląda. W następnym numerze podam szczegółowo kilka ważniejszych ćwiczeń innego tyou.



Z TEATRÓW.

TEATR POLSKI

„Król Henryk IV” *Wiliama Shakespear'a*. Przekład *Ulricha*. Układ tekstu *R. Ordyńskiego*. Dekoracje i kostjomy *K. Frycza*. Reżyserował *R. Ordyński*. Pomocnik reżysera *J. Turowiczówna*. Ilustracja muzyczna *L. Rogowskiego*.

Dwa teatry w Warszawie — Teatr im. Bogusławskiego i Teatr Polski grają Szekspira. Jest to charakterystyczny moment w dziejach Szekspira w Polsce i chlubnie świadczy o poziomie reżyserji naszych teatrów.

P. Ryszard Ordyński w swym układzie tekstu stopił dwie części dramatu w jedną całość, wysuwając na plan pierwszy Falstaffa i czyniąc z ogromnego jego cielska postać pierwszo-planową. W ten sposób królewskość dramatu Szekspira została, że użyję wyrażenia na czasie, zredukowana na korzyść grubego a sprośnego Falstaffa. Konstatuję to bynajmniej nie w celu wyciągnięcia wniosków krytycznych — bo przeciwnie, uważam to za pomysł zupełnie szczęśliwy i dający się umotywić poważnymi argumentami.

Wystawienie Henryka IV nie jest rzeczą ani prostą ani łatwą. Teatr Polski rozporządza warunkami, umożliwiającymi osiągnięcie dużego powodzenia. Ma przedewszystkiem świetne opanowanie środków technicznych, niezwykłą sprawność w operowaniu rotacyjną sceną, umożliwiającą częste zmiany dekoracyj (14 odsłon!) i przedewszystkiem ma *Zelwerowicza*, który nie da się byle kim w roli Sir John Falstaffa zastąpić. Doskonałym kontrastem Falstaffa był Jerzy Leszczyński w roli księcia Walji, — szlachetny w każdym ruchu, nawet w chwilach największego rozdhukania i w hulankach, mający w żyłach błękitną krew królów. Bezsprzecznie książę lepiej wiązał się

w harmonijną całość z dostojnym fioletem i czerwienią sal królewskich, niż z pstrokatą karczmą pani Żwawskiej.

Cały zespół aktorów wywiązał się z zadania doskonale. — należy z uznaniem podkreślić świetnie odegrane role kobiece p. Modzelewskiej — (jako pani Żwawskiej) i pani Broniszówny — (jako Doroty Drzejprześcieradło), która zawsze umie zdobyć uznanie publiczności dla swej gry i inteligencji w ujęciu roli.

Natomiast smętne refleksje ogarniają widza w cudnej scenie pożegnania między małżonkami Lady Percy i Henrykiem Percy Hotspur. Cóż z tego, że p. Bracki ma niezwykle cenne warunki sceniczne, a pani Smosarska jest bardzo ładna. Cóż z tego! Jedną z najpiękniejszych scen szekspirowskich, perła lśniąca uroczym blaskiem, porywający za serce dialog, w którym dźwięczą przedziwnej miękkości tony tęsknoty, wiernego kochania i, szepcane po przez łzy i uśmiechy, wyrzuty, gdzie się tak precudnie płacze się tu miękka kobiecość i rycerska buńczuczność, spięte długim pocałunkiem — który jest w życiu ostatni — cały ten nieprzebrany skarbiec tonów, który składa w ręce aktorów genjusz Szekspira — został przez panią Smosarską i p. Brackiego lekkomyślnie zmarnowany.

Ale jest to tylko drobna uwaga, która nie może osłabić wyrazów uznania dla całości przedstawienia, które jaknajdłużej powinno wypełniać repertuar Teatru Polskiego.

P—a.

PRAKTYCZNA MODA

Sztuka krawiecka wymaga dzisiaj wielkiej pomysłowości, bo zmuszona pozostać w granicach linii prostej, w której panie są zakochane, aby urozmaicić modele i nie dać dwóch podobnych, musi wymyślać coraz to nowe przybrania, upiększenia i materiały. Panie, nie rozporządzające dużymi środkami, muszą też wykazać wiele pomysłowości, aby odnawiać i przerabiać stare suknie na nowe i modne.

Ale temu zadaniu specjalnie sprzyja dzisiejsza moda i mam nadzieję, że kilka moich rad przyda się Szanownym Czytelniczkom.

Jeśli kto ma czarną, lub ciemną suknię wąską i długą, może ją przerobić i odświeżyć w następujący sposób: Trzeba ją bardzo skrócić i rozciąwszy z przodu od góry do dołu wstawić pas materiału gładkiego, lub w desek 20 cm. szeroki. Nisko, na biodrach wążutką pasek, a przy szyi mały kołnierzyk z tego samego materiału co przód. Rękawy długie, przylegające, wąskie.

Drugą suknię tego samego fasonu przerobić można nasywając od ramienia do dołu, lub przez środek przodu i na rękawach dołkocia, szereg dużych, białych lub kolorowych guzików i z sutarzu, lub wążutkiej wstążeczki, naśladując dziurki. Dziurki muszą być tego koloru, co guziki.

Jeśli kto ma dużo wolnego czasu, ślicznie odświeżyć może suknie, nasywając ją częściowo np. dół sukni i górę stanika deseniem krzyżykowym, wykonanym wełną lub jedwabiem w różnych kolorach, albo łatwym haftem prostym, dużemi ściegami wyszyć pasy, czy też motywy.

Jeśli komuś sprzykrzyła się już forma prosta, to można przyszyć poniżej bioder falbanę z materiału deseniowego, jedwabiu, lub welwetu. Falbana taka może być naszyta dookoła figury, tylko z przodu, jak fartuszek, lub od tyłu do boków, a z przodu rozcięta.

Nieraz jedna suknia może mieć dwa użycia. Może służyć na wizyty w dzień i wieczorem do teatru, lub na koncert.

Wtedy na skromną suknię nakłada się długą tiunikę z mousseline de soce haftowaną, lub wyszytą pacioreczkami. Tiunika taka powinna być o 20 — 30 cm. krótsza od sukni i objęta tym samym kolorem co spód.

Przy wycięciu szyi nosi się wysokie, koronkowe berty, wyłogi z haftu białego czy też kolorowego na gazie, lub tiulu — nieraz wycięcie i dół sukni obszywa się futrem, lub marabutami. Obnoszoną już trochę suknię odświeżać bardzo coraz to inny szal.

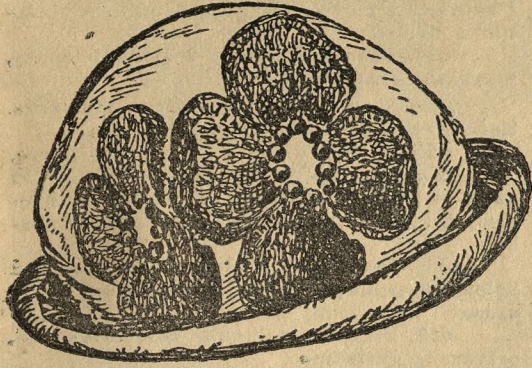
Noszone są wełniane, ręcznie robione z jedwabnego trykotu, haftowane, a do strojnych sukien gazowe, na końcach przybrane motywami kwiatowymi. Na blado-zielonej gazie róże krwiste, różowe i fioletowe — aplikowane z tafty. *Regina z Szymańskich Andrzej*

OD ADMINISTRACJI

Zawiadamiamy, że celem uregulowania nakładu pisma, wszystkim Szan. P. Prenumeratorkom, które do dziś dnia nie uiściły należnej za prenumeratę opłaty, wstrzymamy wysyłkę następnego numeru „Bluszczu”. Wstrzymanie wysyłki nie zwalnia od obowiązku wyrównania należności za otrzymane dotychczas numery.

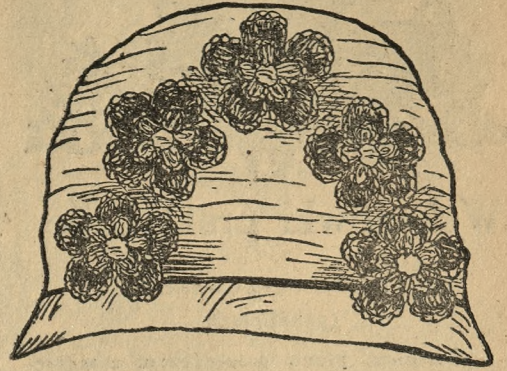
Pieniądze za prenumeratę najlepiej wysyłać za pośrednictwem P. K. O., której czeki — w braku tychże, jako załącznika w zeszytach „Bluszczu” — otrzymać można w każdym urzędzie pocztowym. Na czekach tych należy wyraźnie uwidocznic **Nr. conta „Bluszczu” 3700.** — Przez użycie czeków P. K. O. zaoszczędza się koszt wysyłki pieniędzy przekazem.

Rys. 1.



O Z D O B Y Z W Ł Ó C Z K I

Rys. 2.



Nieprzewidziane są kaprysy mody. Obok przybrań ze strusich piór, bogatych galonów i haftów, jedno z pierwszych miejsc należy się wszelkim przybraniom z wełny i włóczki.

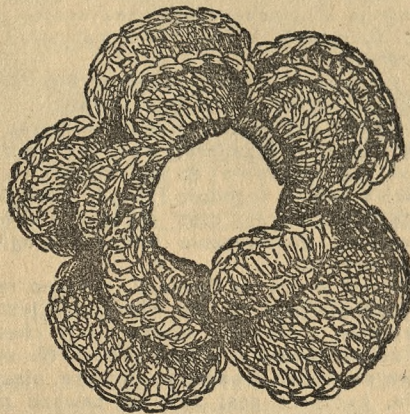
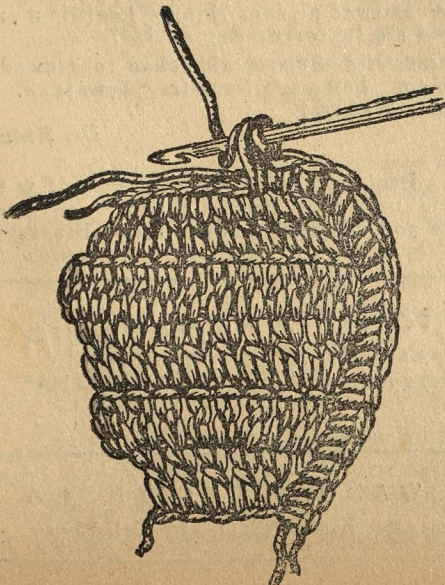
Przypominają nam się patarafka naszych prababek, gdy patrzymy na te kwiatki i ozdoby pracownice wykonane szydełkiem, lub na drutach, którymi się ubiera kapelusze, zdobi mufki i szale, nawet upiększa poduszki na kanapę i podcina firanki i portjery. A jednak w myśl zasady, że co modne to ładne, naprawdę ślicznie wygląda biały kapelusik z miękkiego filcu, przybrany włóczkowymi kwiatkami koloru pistacji, (rys. 1) lub czarny aksamitny, albo fokowy cylinderek, ozdobiony różyczkami w trzech cieniach—od jasno pomarańczowego koloru do fox-trott (rys. 2).

Jedną wielką zaletę ma ta moda — że każda z nas w ciągu paru godzin, takie przybranie sama wykonać może.

Przypatrzmy się im bliżej. Oto kwiatek, zdobiący biały kapelusik (rys. 1), składa się z czterech listków zeszytych razem i połączonych paciorkami odpowiedniego koloru.

Listki są dwóch wielkości. Aby wykonać większy, robi się szydełkiem 4 oczka na powietrzu, 2 oczka luźne na zakręcie każdego rzędu. 7 rzędów robionych słupkami, powiększa się, robiąc 2 słupki w jedno oczko.

Rys. 1a.



Rys. 2a.

Rys. 2b.



W tych 7 rzędach robi się 6—10—12—14—15—15 i 13 słupków, czyli że w ostatnim rzędzie odejmuje się 2 słupki, gubiąc po jednym na początku i na końcu rzędu. Trzy strony tego listka obrabia się oczkami ścisłymi, które stanowią podstawę do 46 oczek pojedynczych, otaczających ten listek.

Listek mniejszy (rys. 1a) robi się na podstawie 3 oczek na powietrzu. Składa się on z 5 rzędów po 5—8—10—12—10 słupków. w rzędzie. Obrobienie listka na 34 ścisłych oczek

Różyczkę z włóczki, przypiętą do drugiego kapelusza (rys. 2a) robi się jak następuje: 30 oczek na powietrzu (łańcuszek) zamknąć w kółko jednym oczkiem ścisłym.

Naokoło tego kółka powtórzyć 5 razy po 5 oczek na powietrzu, łącząc oba łańcuszki ze sobą co 5 oczek — oczkiem ścisłym (rys. 2b).

Na wewnętrznym łańcuszku wykonany jest pierwszy rząd listków. Na każdym luźnym kawałku łańcuszka 1 półsłupek, 2 słupki, 6 podwójnych słupków, 2 słupki i 1 półsłupek.

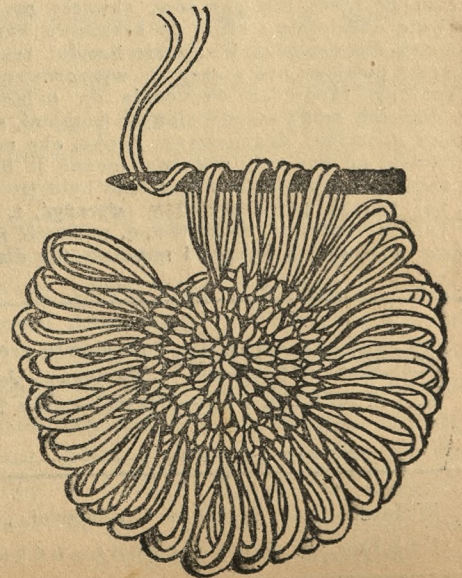
Drugi rząd listków robi się na zewnętrznym łańcuszku, powtarzając 5 razy: 2 słupki, 2 podwójne słupki, 6 potrójnych słupków, 2 słupki podwójne i 2 słupki. Nitkę się przeciąga i ucina. Różyczkę przyszywa się jedwabiem tego samego koloru, tylko w środku, pozostawiając listki wolne.

Jedne i drugie kwiatki można wykonać z wełny „Zephyr,” lub grubszej włóczki, jeśli chcemy, żeby kwiatek był większy.

Do przybrania dzieciennych czapeczek, szalików, a nawet i sukienek ładny jest kwiatek (rys. 3).

Ten musi być wykonany z grubszej włóczki w następujący sposób: 3 oczka łańcuszkowe w kółko zamknięte, 2 oczka ścisłe wkluc w każde oczko łańcuszka, otoczyć drugim rzędem z 12-tu oczek ścisłych. W trzecim rzędzie zrobić 1 oczko ścisłe, a następne wyciągnąć mniej więcej na 1½ ctm., zatrzymać je na szydełku, wkluc w oczko rzędu poprzedniego, ściągnąć nitkę jednym oczkiem i postępować tak dalej, wyciągając oczka i wkluwając po 2 w każde oczko poprzedniego rzędu.

Rys. 3.





Wskazówki praktyczne

MIĘSO PEKLOWANE (pekeflejsz)

Jesienią, przed ostatecznym zamknięciem była do obór, w większych i średnich gospodarstwach zwykle się wybrakowuje sztuki starsze, nie dosyc mleczne i t. p. — sprzedając ich jednak w tym czasie korzystnie nie można, gdyż podaż towaru jest duża, a jedyni kupcy, żydzi, chcą wykorzystywać pomyślnie dla nich koniunktury i dają literalnie cenę skóry. Praktyczna gospodyni powinna w tym czasie pomyśleć o całorocznym przekarmieniu czeladzi i sztuki takie zużytkować na mięso peklowane, (saletrowane). Po zarżnięciu takiej sztuki, nogi, głowę, płuca, serce i wątrobę używa się dla tejże czeladzi i służby na świeżo, mózg i flaki jako też jakas część najlepsza i poledwice, cynadry i ozór idą na stół, z reszty wyluzowują się grubsze kości, z których się wyrabia buljon domowy, smaczny i zdrowszy od wszelkich kupnych kostek „Maggi” i innych. Łój się przetapia na fryturę, a mięso całe, pokrajane na duże kawały, mniej więcej takie, jakie na raz jeden mogą być użyte, pekluje w baryłkach i beczkach na całoroczny użytek. Wraz z wołowiną można usolic parę sztuk starszych, brakownych owiec lub baranów, jaką sztukę nierogacizny, nie dającą się dobrze ukarmić, a zatem nie rokującą dobrych nadziei jako materiał na słońnię i wędliny. Przy tanich cenach można w miasteczku nabyć większą ilość ozorów.

Nakoniec, kto hoduje dużą ilość gęsi i kaczek, nie ma dla nich korzystnego zbytu a nie chce ich zbyt długo karmić, może wraz z innym mięsem część ich zapeklować. Gotowane do chrzanu na gorąco i zimno są wyborne. Oczywiście, należy od razu podzielić wszystko mięswo na części, lepsze kawałki wołowiny: krzyżówkę, zrazówkę, grudziżnę (najsmaczniejszą, szczególnie, jeżeli jest dobrze przeraśnięta), pieczenie i combry baranie, schab, szyjki i ładniejsze kawałki boczku z wieprzowiny, wszystkie ozory kaczki i gęsi, soli się oddzielnie w małych baryłkach, pódają one na stół państwa. Resztę mięswo — zresztą zupełnie w tenże sam sposób przyrządzoną, pakuje się w duże beczki lub faski i będzie ona użyta dla służby i czeladzi, przed soleniem należy wszelki wołowy łój wewnętrzny, sadło wieprzowe i łój barani odciąć od mięsa i razem lub oddzielnie przetopić. Tłuszcz się scedza do fasek lub garnków, skwarki przechowują oddzielnie i służą do kraszenia kasz i klusek dla czeladzi. Wszystkie baryłki, faski i beczki powinny być starannie wyszorowane, wyparzone zapomocą wrzucenia do nalanej na dno ich wody — rozpalonych kamieni, — i mieć szczelnie dopasowane denka, aby na tychmiast po usoleniu mięswo, można je było szczelnie pozabijać. Aby mięso było trwałe, sól należy przed użyciem uprzyżyć, t. j. nasypać na patelnię lub brytwane, postawić na blasze gorącej lub fajerce i mieszać tak dłu-

go, aż zacznie trzeszczeć, zdjąć z ognia, ostudzić i dopiero wtedy używać. Na pud mięsa (16 ki o) bierze się funt i ćwierć soli prażonej, łut saletry, po łucie pieprzu, ziela, listka, majeranku kolendry i kilka goździków, — korzenie należy zlekka przetruc i dokładnie wymieszać z solą i saletrą. Kto lubi, można dodać kilka ząbków czosnku. Mieszaniną tą naciera się starannie każdy kawał mięsa, przyczem należy uważać, aby w mięsie nigdzie nie było skrzepów krwi ani gruczolów, pierwsze i drugie należy ostrym nożem usunąć.

Na dno baryłki sypie się też garść soli z korzeniami, poczem kawały układa jak najszczelniej, ubijając je nawet tłuczkiem drewnianym, aby nigdzie pustego miejsca nie pozostało i przesypując solą. Gdy baryłka pełna zabija się ją denkiem, denko po brzegach jak najstaranniej zalewa smołą, aby powietrze dostępu nie miało i rosół nie mógł wyciec. Mięso bez rosółu zepsułoby się na nic.

Tak zabita baryłkę trzyma się przez trzy doby w umiarkowanej ciepłej izbie, codziennie ją z boku na bok przewracając, aby się sól rozpuściła i jednakowo wszystkie kawałki przejęła.

Po trzech dniach przenosi się baryłki do lodowni, gdzie stać mogą do wiosny.

Należy dobrać do solenia mięsa naczynia takiego rozmiaru, aby raz zaczęte, zimą w trzy tygodnie do miesiąca, wiosną najdalej w dwa tygodnie zużyć, gdyż raz otwarta baryłka przez czas dłuższy nie konserwowałaby dostatecznie mięsa i mogłoby się ono zepsuć.

Przed wejną na Kresach robiono takie zapasy pekeflejszu, że do następnej jesieni go starczyło, a czeladź i służba tak je chętnie jadła, że wołała od świeżego mięsa. Na stole państwa szyneczki i ozory peklowane, pieczeń barania, kaczki i gęsi były też zawsze mile widzianą potrawą.

W takich dużych ilościach, solić mięso mogą oczywiście tylko dwory wiejskie i to w okolicach dalej od miast i kolei położonych, gdzie z jednej strony o korzystny zbyt trudno, z drugiej, nie zawsze świeżego mięsa dostać można. Jednak i gospodynie miejskie mogą skorzystać ze zwykłego, w chwili nastania chłódów, chwilowego niestety, spadku cen mięsa i w jakim kamiennym garnku lub niedużej faszeczce od masła usolic kilka bodaj kawałków wołowiny, baraniny i wieprzowiny i parę ozorów, (gęsi i kaczki byłyby oczywiście, jako zbyt kosztowne, wykluczone).

Proporcję soli, saletry i korzeni należy brać taką samą i dalej postępować jak powiedziano wyżej, mięso się pokrywa denkiem lub talerzem emaljowanym, przyciska kamieniem i przez kilka dni pierwszych przekłada kawałki z dołu na górę, aby się wszystkie równo usoliły. Gdyby rosółu było za mało i nie pokrywał zupełnie mięsa, należy ugotować wody, posolic ją mocno, ostudzić i zimną poleć, mięso. Trzymając na chłodzie i pilnie strzegąc od pleśni, można peklowane mięso przechować ze dwa miesiące. Na gorąco i na zimno będzie ono mięsem, niekosztownem urozmaiceniem jadłospisów domowych.

Pani Elżbieta.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 47

650. Suknia z piaskowego sukna, przybrana oosami.

651. Suknia z granatowej gabardiny, przybrana kolorowemi guziczkami.

652. Suknia z wełny czarnej z białym w kratę. Kołnierzyk i pasek czarne. Obłożenie z imitacji skunksów.

653. Suknia z brązowej wełny. Przędź i kołnierz z ciemniejszego aksamitu. Obłożenie z lisów.

654. Suknia żałobna z czarnej wełny, przybrana krepą.

655. Suknia z popielatego sukienka. Kołnierzyk i kieszenie ciemno zielone.

656. Suknia żałobna, przybrana krepą.

657. Bluzka z białej popeliny. Przędź szyty w drobne zakładeczki. Kołnierzyk i rekawy przybrane wążutkami, kolorowemi pliakami.

658. Toczec z wytłaczanego aksamitu koloru ponsowego, przybrany klamrą z wytłaczanej i malowanej skórki

659. Bluzka z sukienka koloru fox-trott, przybrana guzikami.

660. Bluzka z crepe de chine'u koloru pistacji, szyta w drobne zakładeczki. Przyszyi i mankietach biała, plisowana fryczka.

661. Suknia żałobna z czarnego kreponu, przybrana aksamitem.

662. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 11 z kolorowego woalu. Pas wyszywany jedwabiami.

663. Sukienka dla dorastającej panienki z ponsowego kreponu, przybrana czarną aksamitką.

664. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 12 z blade niebieskiej popeliny, przybrana różowemi różyczkami.

665. Suknia z granatowej gabardiny przybrana taśmą.

666. Wzór na obrus i serwetkę. Haft richelieu i angielski. Wielkość 2 mt. x 16 0.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku m'ód, nabywać można w Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I, II, III, lub IV) podług której forma ma być przykrojona.

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada).

PORADY KOSMETYCZNE.

Łodziance. Nie, „Petunja“ usuwa tylko piegę. Wagry przy tym stosowaniu mogą nawet stać się znaczniejsze. Usunąć je trzeba myjąc twarz proszkiem alkalicznym „Sveno“ dr. Lafayette. Twarz wycierać kilka razy dziennie płynem „Albarol.“ Możemy wysłać za zaliczeniem.

Pułkownikowej M. Zamiast mydła używać do mycia otrabki migdałowe „Select“, twarz zmywać płynem „Fluide Lenitif“ a przestanie się łuszczyć. Czy wysłać?

Nauczycielce. Zmarszczki lekko rozprowadzać kremem „Salome.“ Rezultaty bywają b. dodatnie. Wyślemy.

Dr. Roemer.

Panie, pragnące mieć odpowiedź w tym dziale uprzejmie proszę o zwracanie się do mnie pod adresem Administracji „Bluszczu.“

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU:“ Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA,“ Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, OGŁOSZENIA L. i E. MENTZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ Długa 9 i I. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK.“
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239 40.